Nr. 34. Poznań, dnia 25 Sierpnia 1907 r. Rok XI.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,5 z odnoszeniem do domu . . 1,6 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 32. Telefon Nr. 1165. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Pod wrażeniem.

W polityce nie robi się niczego pod wrażeniem. Inaczej w dziennikarstwie. Dziennikarz patrzy, słucha, porównuje, zbiera wrażenia. I dla tego tak często artykuły dziennikarskie noszą na sobie cechę politycznych wrażeń.

Jeżeli dziś zabieram się do pisania pod wrażeniem, to muszę szczerze wyznać, że nie jest to wrażenie bezpośrednie. Żałuję, że tak nie jest, żałuję, że nie byłem w Bydgoszczy, że nie zanurzyłem się w owo morze germańskie, że nie poczułem jego fal uderzających o pierś moją, że nie mogłem doświadczyć na sobie, czy moc tych fal mnie przemogła, czy ja ją przemogłem.

Żałuję. Wrażenie moje piszę na mocy sprawozdań z odbytego w dn. 17 i 18 b. m. zjazdu „ostmarkenvereinu“ w Bydgoszczy. Sprawozdania te czerpię z pism stojących wprost na usługach „ostmarkenvereinu“, tak że z tej strony nikt podanym faktom zaprzeczyć nie będzie mógł.

Zjazd odbył się „mit Klang und Sang“, to znaczy hucznie i buńczucznie. Ze wszech stron Niemiec, a najwięcej z „ostmarki“ (inaczej: z kresów wschodnich, a właściwie: z Księstwa, Prus i Śląska) zjechało się delegatów grup, by radzić nad obecnem położeniem sprawy polskiej.

Oczywiście najważniejszą była sprawa — wywłaszczenia. Sprawę tę załatwiono szybko. Ponieważ komisya kolonizacyjna nie osiągnęła zamierzonego celu, t. j. *nie zmniejszyła* własności polskiej, trzeba uchwalić prawo wywłaszczenia.

Ale nie to jest jedynym powodem. Oto — hakatyści z dziwną przyznali to w Bydgoszczy szczerością — że działalność komisyi kolonizacyjnej wyśrubowała ceny ziemi tak, że dziś płaci się już 125 razy tyle jak czysty dochód wynosi, i że skutkiem tego każdy pragnie się ziemi swej pozbyć, przez co Polacy tylko jeszcze więcej ziemi zdobyć by mogli — więc wywłaszczenie jest potrzebne dla *cofnięcia cen ziemi do normalnej wysokości!* Wtenczas Niemcy nie będą sprzedawać.

Rzeczywiście takie postawienie sprawy jest arcycickawe. Przecież to rzekomo Polacy zagrażają ostmarce. Oni winni sami, że tak ostre przeciwko nim prawa się knują. A tu zjazd hakatystów w Bydgoszczy powiada, że winni temu są Niemcy, bo ziemi się nie trzymają. Ale — Niemcy winni, ale Niemcy tych Niemców bić nie będą dla poprawy. Nie! — dla poprawy Niemców bici będą Polacy. Widocznie hakatyści są przekonani, że biciem Polaków odstraszą Niemców od popełniania win względem „vaterlandu!“

Nowy to dowód dziwnej co najmniej hakatystycznej logiki. Na pozór chce czego innego — a w rzeczywistości znowu co innego robi.

Naturalnie pomimo twierdzenia o Polakach, jakoby to oni narzucili walkę niemczyźnie, i że dla tego tylko potrzeba jest ostrych środków państwowych. Ba, Polacy to przeciwnik *nieprzejednany*. Dowiodła tego *niezbicie* historya ostatnich dziesiątek lat.

Doprawdy, gdy rok w rok czyta się to samo, gdy tylokrotnie człek wzdrygał ramionami nad takiemi bredniami, to wreszcie burzył się na stek kłamstw w nich zawartych, powoli przychodzi się do spokojnej rozwagi i stawia się pytanie: dla czego?

Dla czego hakatyzm łże, że Polacy *narzucili* niemczyźnie walkę, dla czego łże, że Polacy są nieprzejednanym przeciwnikiem niemczyzny, dla czego łże, że ostatnie dziesiątki lat udowodniły to niezbicie?

Dla czego?

Być może, że naród niemiecki zbyt wysokie ma pojęcie o sprawiedliwości. I dla tego nowocześni „rycerze krzyżowi“ okryci są płaszczem obłudy politycznej i wywołują pozory słuszności dla siebie, by pchać swój naród do zaciekłej walki przeciwko polskości.

Być może, że naród niemiecki do tego stopnia zatracił poczucie godności prawdy, że ku zwalczaniu jej nie wzdryga się użyć pomocy kłamstwa.

A może wreszcie być, że tam gdzie walka się toczy, nie chodzi wcale o prawdę i sprawiedliwość, ale po prostu chodzi o zręczność w walce, by przeciwnika powalić. A w takim razie kłamstwo i podstęp pożądaną są bronią?!

Czy jedno, czy drugie, czy trzecie jest powodem rozsiewania kłamstw, jedno powodem jest istotnym i prawdziwym. A czy tak czy owak jest, fakt ten odsłania nam całą ohydę charakteru przeciwnika. Kto nie ustraszy się splamienia własnego honoru, miana uczciwości kto nie uszanuje, ten nie cofnie się przed żadną podłością, byleby przeciwnika zwyciężyć.

Ten hejnał ostatecznego zwycięstwa brzmiał też podczas obrad hakatystycznych rozgłośnie. Brzmiał on w telegramach do cesarza i kanclerza, brzmiał w toastach wznoszonych na cześć cesarza i filarów hakatyzmu, na cześć miasta Bydgoszczy.

Ale hejnał ten brzmiał już w słowach tylokrotnie, a jednak o twarde warunki rzeczywistości rozbijali sobie hakatyści swoje łby, żaląc się za każdem „prawem“ wyjątkowem po krótkim czasie, że nie przyniosło spodziewanych owoców.

A może i „prawo" wywłaszczenia Niemców tych nie przyniesie? — a może Niemcy sami staną się winni zawodu, jaki i to „prawo" sprowadzić gotowe na hakatyzm?

Cóż wtenczas wymyślą?!

Słyszałem w tych dniach od kogoś, co przymusowo obraca się w kołach niemieckich, że zacietrzewienie niemieckie jest tak wielkie, że nie wahają się przytakiwać myśli im podsuniętej, ażeby przeciwko nam — wytoczyli armaty i wojsko!

Czy prawda to? — czyżby tak myślano istotnie?

Wierzę, że to był żart. Był to jednakże żart nie z tego rodzaju, który swawolny wywołuje uśmiech, ale żart, po którym skóra na człowieku cierpnie. Dowodzi on niczego mniej ani więcej, jak niebywałego zwyrodnienia w kołach niemieckich, które Polaków zwalczają. Tylko zwyrodnieniem można wytłomaczyć okrutny i nieludzki żart o wytoczeniu armat przeciwko spokojnej ludności, oddanej w pocie czoła pracy na swoim zagonie.

A jednak, gdy się czyta mowy wygłoszone w czasie zjazdu hakatystycznego, gdy człowiek wczuje się w ton wojowniczy, który z nich bije, gdy wmyśli się w konsekwencye proklamacyi walki przeciwko nam, trudno zaiste oprzeć się wrażeniu, że hakatyści nam nie życzą tego życia, którego nam nie dali, tego słońca, którem Bóg wszystkich oświetla, tego powietrza, które wszystkich ożywia. A czemu?

Czyż projekt wywłaszczenia jeszcze niedostatecznym jest na to dowodem?!

Wobec tego nasza nadzieja tylko w nas samych, w poprawie naszej, w wyzbyciu się błędów, a w spotęgowaniu cnót do tego stopnia, że jakiekolwiek nastaną czasy, my wytrwamy w walce o — prawdę i sprawiedliwość.

I. M. S.

Kompromis polityczny między Polakami a centrum na G. Śląsku.

Sprawa ta od pewnego czasu nie schodzi z łamów nie tylko pism polskich, nie tylko centrowych, ale i hakatystycznych.

Stanowisko hakatystów w sprawie tego kompromisu jest jasne. Twierdzą oni, że Polacy w ogóle a na G. Śląsku specyalnie tak ostro walczą przeciwko niemczyźnie, że żaden uczciwy Niemiec ręki do politycznego z Polakami kompromisu podawać nie może, bo — pośrednio obowięzuje się przez to do *popierania* sprawy polskiej.

Hakatyści takie dziś w polityce niemiecko-polskiej despotyczne dzierżą stanowisko, że Niemcy nawet tacy, ktorzy innych są aniżeli hakatyści przekonań — boją się przeciwko ich polityce występować, by się nie narazić raz na zarzut braku patryotyzmu, którym hakatyści rzucają na oślep na lewo i prawo, powtóre na zarzut — popierania sprawy polskiej.

I potrzeba istotnie nie małej odwagi oraz niezwykłej bystrości politycznej u Niemców, by zarzutom tym stawić otwarcie czoło lub śmiało głosić, że jeden i drugi zarzut, to polityczny nonsens, bo — można być dobrym patryotą niemieckim, nie podcinając Polakom tętnicy życiowej, nie tamując ich rozwoju.

Nie dziw więc, że wśród Niemców na G. Śląsku nastąpiło z chwilą pojawienia się pomysłu o kompromisie centrowo-polskim, i to wśród Niemców-katolików rozdwojenie.

Część ich zdobyła się na odwagę wypowiedzenia się po stronie kom-

Rzut oka na literaturę bieżącą

przez **M. G.**

Wyspiański.

„W całej polskiej naturze przemiana,"

mówi Wyspiański w swojem „Weselu" [1]).

Ta „przemiana" widnieje w każdem kierunku naszego społecznego życia. W życiu codziennem nazywamy ją postępem, uświadomieniem, w literaturze nowym zwrotem, wysoce znamiennym i zapowiadającym dalszy świetny rozwój naszego piśmiennictwa. Coraz nowe, świeże, bujne siły, a w każdej z nich czuć żywe tętno myśli narodowej.

Poeci naszej doby nie roztkliwiają czytelników lirycznymi dźwiękami, ani ich nie unoszą w niebotyczne sfery, ale rzucają im w oczy prawdy, poważne, surowe, gorzkie, a zawsze sięgające do głębi duszy.

Takimi właśnie utworami są Wesele i Legion Wyspiańskiego.

Wyspiański, to mistrz słowa i pędzla, natchniony piewca narodowy na wzór starożytnych rapsodów, dziedzic wielkiego ducha i wielkiego talentu. Jeżeli wartość utworów literackich mierzyć mamy podług wpływu, jaki one wywierają na podniecenie uczuć patryotycznych, to Wesele Wyspiańskiego obok Trylogii Sienkiewicza uważane być może za najcelniejszy utwór naszej epoki.

W „Weselu" poeta tworzy szereg postaci z rozmaitych sfer: są włościanie, mieszczanie, jest młody poeta, „panicz" z miasta, kobiety wiejskie i miejskie damy. Każda z tych osób jest typem żywym i prawdziwym.

Zebrani na wiejskiem weselu bawią się każdy po swojemu: włościanie tańcem i piciem, „państwo" z miasta rozmową dowcipno-salonową lub flirtem na prędce.

Wśród tych rozmów to lekkich, to znów trywialnych i rubasznych padają słowa pełne znaczenia, zapowiadające „rzeczy osobliwe" — słowa tajemnicze, urywkowe, płomienne, co jak owe błyskawice w nocy wiosennej zwiastują zmianę w przyrodzie:

Jakoweś Fata nas pędzą w przepaść (*Stańczyk.*)

Polska, to jest wielka rzecz
Podłość odrzucić precz —
Wypisać świętą sprawę
na tarczy, jako ideę, godło
i orle skrzydła przyprawić (*Poeta.*)

Serce — to Polska właśnie (*Poeta.*)

Osoby dramatu, jeżeli tak można nazwać „Wesele" tak odmienne kulturą umysłową i towarzyską mają przecież jednę zbiorową duszę — jednę wspólną myśl. — I ta dusza rozgrzewa się, natęża, zaczyna się zapalać...... Nie po to jednakże, aby spełnić wielki czyn społeczny, aby w potężnem zespoleniu naród na nowe pchnąć tory. — Taki cel poeta ukazuje wprawdzie, lecz z daleka, w odległej perspektywie przyszłości i urywa pieśń swoją niedośpiewaną.

Nie jest zatem „Wesele" dramatem w literackiem znaczeniu ani powieścią, ani epopeją — jest raczej symboliczną wizyą poetycką, w której przedziwnie kojarzą się tradycye dziejowe z jasnowidzeniem przyszłości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Nie wszyscy może czytelnicy nasi znają historyę tego utworu. Poeta Wyśpiański uczestniczył w uroczystości weselnej przyjaciela swego Łucyana Rydla, który ożenił się z włościańską córką z Bronowic pod Krakowem. Na tem weselu poeta widział, słyszał niejedno, co w twórczej swej wyobraźni przetworzył na pomysły poetyckie i filozoficzne — i tym sposobem powstał ów utwór jedyny w swoim rodzaju, jak niezwykłą była owa uroczystość, w której uczestniczyli włościanie, literaci, słowem ludzie zupełnie odmiennych sfer i zawodów.

promisu wbrew zarzutom hakatystycznym, część pod grozą owych zarzutów oświadczyła się przeciwko kompromisowi.

Lecz cóż to za kompromis?

Pamiętamy wszyscy wybory do sejmu na G. Śląsku w roku 1903. Pamiętamy, że Polacy chcąc pokazać, jaką rozporządzają siłą głosów, zdecydowali się na poparcie rządowców, — by centrowiec nie przeszedł.

Tak się też stało. Polakom chodziło o pokazanie swego wpływu, swej siły. Chcieli pokazać centrowcom, że bez ich poparcia, centrum na G. Śląsku może utracić dużo mandatów sejmowych.

Otóż przy omawianym obecnie kompromisie centrowo-polskim chodzi o to, ażeby *centrum Polaków, a Polacy centrum popierali przy wyborach sejmowych, które nastąpią w przyszłym roku.*

Jest to więc proste porozumienie polityczne, jakie następuje między dwoma partyami — celem *wzajemnego* popierania się. Pomożesz ty mnie, to ja pomogę tobie — a jak nie, to nie.

Kompromis ten ma równe znaczenie dla Polaków jak i dla centrowców. Centrum z pomocą Polaków może zdobyć kilka mandatów — to samo Polacy z pomocą centrowców.

Jest to więc prosty, dla każdego zrozumiały *interes.* I gdyby nie hakatyzm, gdyby nie obawa przed hakatyzmem u pewnej części centrowców, interes ten byłby dawno ubity. Część centrowców przeciwna kompromisowi zdaje się jednej rzeczy najzupełniej nie zrozumieć, że — na ich oporze centrum traci, a zyski zdobędą nar.-liberałowie i konserwatyści.

Ale — zdaje nam się — Polacy zbyt silnie , i zbyt gorąco biorą sobie sprawę kompromisu tego do serca. Tak przynajmniej sądzićby należało z głosów nieomal wszystkich pism polskich górnośląskich. To nieustanne pisanie o pożyteczności takiego kompromisu, to ostre odpieranie zarzutów hakatystycznych robionych z powodu projektu kompromisowego czy to Polakom, czy centrowcom, wywoływać musi wrażenie jakoby Polakom nadzwyczajnie o ten kompromis chodziło.

Przypuśćmy że tak jest. Natenczas rozum polityczny nakazuje zbytnio kart swoich nie odkrywać, bo — albo przeciwnik w nie za głęboko spojrzy, albo druga strona kompromisowa starać się będzie położenie na swoją korzyść wyzyskać.

Nam się atoli zdaje, że polska prasa górnośląska w tym wypadku za gorąco bierze sprawę kompromisu z centrum. Naszem zdaniem wystarczyłoby oświadczyć gotowość do kompromisu. Natenczas centrum powinnoby się oświadczyć, czy podaną dłoń przyjmuje czy nie. Czy z powodu tego w łonie partyi centrowej powstanie rozłam, to nas nie powinno ani parzyć, ani ziębić. To jest sprawa *wewnętrzna* partyi, z którą my się układać chcemy. Niech tę sprawę dla siebie i w własnem łonie rozstrzygnie partya centrowa sama.

Jeżeli partya centrowa z Polakami w kompromis wejść nie zechce, będzie to wyraźny znak dla nas, jakie *ogólno-polityczne* stanowisko względem nas partya ta zajmuje. Z partyą pozbawioną politycznej uczciwości i prostego rozumu politycznego trudno nam będzie wchodzić w układy.

My powinniśmy dobrze rozumieć to, że na kompromisie robi interes i centrum i my, że więc obustronnie są poważne polityczne względy do zawarcia kompromisu.

Ale my i to wiemy, że czy centrum pośle jeszcze 5-ciu więcej posłów do sejmu pruskiego, a my chociażby nawet równie tylu więcej, że to — wobec faktycznej kolosalnej przewagi konserwatywnej na postanowienia i uchwały sejmu żadnego nie będzie miało wpływu.

Cały interes kompromisu polega na tem, żeby wydrzeć parę mandatów konserwatystom i liberałom. I w tem

---

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Sejm ustanowił nowy rząd i podzielił go na władzę rządzącą, wykonawczą i czuwającą. Władzę rządzącą objął *Rząd Narodowy,* złożony z prezesa ks. Adama Czartoryskiego, który objął sprawy zagraniczne, i czterech członków rządu: Winc. Niemojewskiego dla spraw wewnętrznych, Teofila Morawskiego dla zarządu skarbem, Stan. Barzykowskiego dla wojny i Joach. Lelewela dla spraw oświecenia. Władzę wykonawczą mieli spełniać ministrowie przez Rząd mianowani, sejm pozostawał władzą czuwającą.

Tak więc znikła już możność jakichkolwiek układów z Rosyą, a losy narodu miała rozstrzygnąć wojna[1]).

6. Obce mocarstwa wobec powstania.

Sprawa polska łączyła się z prądami wolnościowymi, które wstrząsały całą Europą, a we Francyi doprowadziły już do wybuchu rewolucyi lipcowej. Była więc sprawa polska wspólną sprawą ludów, to też walka za nią wzbudzała w Europie powszechną sympatyę[2]). Nie było w Polsce rewolucyi społecznej przeciwko stanom i ustrojowi społecznemu, a tylko dążność do wydobycia się z pod panowania Rosyi, groźnej dla państw wszystkich. Na to głównie liczyli Polacy, a najwięcej na Francyę, dla której przez lat tyle i z takiem poświęceniem krew przelewali i w której panował teraz król Ludwik Filip przez rewolucyę na tron wyniesiony. Rząd Narodowy, a głównie ks. Czartoryski czynił też w tym kierunku energiczne starania, w Paryżu zaś przebywał i działał dla Polski Teodor Morawski[3]), a później generał Kniaziewicz i Ludw. Plater. Lecz i teraz za krwawe zasługi Polaków, zawód ich spotkał. Król Ludwik Filip otoczony bogatem a samolubnem mieszczaństwem, które do steru doszło, myślał tylko o sobie:

— Co mi tam o kogo, byle mnie tylko Europa królem uznała!

A gdy to nastąpiło, gdy zwłaszcza uznał go królem car Mikołaj, który tak niedawno miał mu wypowiedzieć wojnę, mężowie polscy mówili ze smutkiem:

— Przegrana już w Paryżu nasza sprawa!

I na nagabywania wysłańców Polski odpowiadał niechętnie minister francuski Sebastiani:

— No, ja tam wstawię się za wami do cara Mikołaja!

A gdy Polacy tegoż cara z tronu złożyli, minister nawet już z nimi rozmawiać nie chciał.

Tak było z francuskim rządem, inaczej jednak z pełnym życia narodem francuskim. Naród ten głośno bronił Polski i w parlamencie[4]) stawiał odpowiednie interpelacye[5]).

---

[1]) Lewicki, 439—443; Limanowski, od str. 146; Sokołowski IV 1522, 1527; Morawski, IV, 308.

[2]) *Sympatya,* z greck., współczucie, wzajemność, skłonność, wzajemna przychylność dwóch osób, bez dania do tego powodu.

[3]) Morawski Teodor, mąż stanu i historyk pols. ur. 1797 w Piwonicach w Kaliskiem, był współpracown. pism warsz., z Paryża pisał listy angielskie o Polsce, w r. 1830 poseł kaliski, pełnomocnik przy odbieraniu władzy Skrzyneckiemu, minister spraw zagr. Zamieszkawszy w Paryżu napisał *Dzieje Polsk. nar.* w 6 tom. Poznań 1871—2.

[4]) *Parlament,* z franc., zgromadzenie posłów państwa w stolicy; izba deputowanych czyli wysłańców narodu.

[5]) *Interpelacya,* z łac., wtrącenie, przerwanie mowy, publiczne za-

równy interes ma centrum jak Polacy. Chodzi tylko o to, żeby interes ten obopólny dobrze został zrozumiany, a nam szczególnie chodzi na razie o to, żeby ze strony polskiej nie był — zbytnio przeceniany. *Is.*

Z Królestwa Polskiego.

Warszawa, 18-go sierpnia 1907.

Gdy się zaczął okres zmian w państwie rosyjskiem spodziewaliśmy się, że położenie nasze znacznie się polepszy. Zdawało się nam, że przynajmniej w zakresie prac kulturalnych i społecznych przestaną nam stawiać trudności. Można było sądzić, że rząd tyle przynajmniej się nauczył, że społeczeństwo pozbawione możności pracy społecznej musi podlegać anarchii, że jak są zamknięte wszystkie drogi pracy, to się niejako zmusza ludzi do konspiracyi do działalności nie legalnej.

Okazało się teraz wszakże, że rząd niczego się nie nauczył, że z tą chwilą, gdy poczuł się nieco wolniejszym, powraca natychmiast do dawnych zwyczajów i sposobów postępowania. Po represyach zastosowanych do bloku narodowego i prasy przychodzi teraz kolej na „Macierz.“ Nie kończy się na tem wszakże, wyszły okólniki wymierzone przeciwko związkom zawodowym robotniczym, wreszcie odczuwać się daje zwrot w stosunku do stowarzyszeń kredytowych.

Każdy gospodarz wiejski wie o tem, jak niezbędnym jest kredyt długoterminowy i kredyt krótkoterminowy. Do ostatnich czasów rząd sprzeciwiał się wszelkim usiłowaniom zmierzającym do zapewnienia drobnym gospodarzom wiejskim możności korzystania z kredytu. Większa własność ma Towarzystwo Kredytowe ziemskie założone jeszcze w czasach Królestwa Kongresowego w r. 1825, ale Towarzystwo to nie miało prawa dawać pożyczek gospodarzom drobnym.

Zarząd Towarzystwa od roku 1864, to znaczy od chwili uwłaszczenia włościan pragnął im uprzystępnić kredyt długoterminowy, lecz rząd zawsze się temu sprzeciwiał. Rząd rosyjski nie chciał, by włościanie cokolwiek otrzymali od społeczeństwa polskiego, chciał natomiast, by wszelkie dobrodziejstwa dla nich szły z rąk rządu, ale sam nic nie robił. Podawało więc kilkakrotnie Towarzystwo kredytowe projekty rozszerzenia działalności na gospodarstwa drobne — ale napróżno.

Wreszcie w przekonaniu że po dzień 30-go października roku 1905 rząd więcej pozwalać będzie, opracowano raz jeszcze projekt nowy i podano w styczniu r. b. do Petersburga do ministeryum. Początkowo zdawało się, że ministeryum się zgodzi, tymczasem obecnie dochodzi do Warszawy wiadomość, że ministeryum projektu nie zatwierdzi; podobno oddziaływał w tym kierunku jeden z Polaków członków Rady Państwa. Okazuje się ztąd, że rząd rosyjski nawet w zakresie kredytu nie chce ani na włos ustąpić ze swych poglądów na sprawę polską, nie chce dopuścić żadnej samodzielności społeczeństwa.

Podobnie się rzecz ma z kredytem krótkoterminowym. W tym zakresie rząd niby to coś zrobił. W roku 1869 zaczęto zakładać po gminach kasy gminne pożyczkowo-oszczędnościowe. Rząd dał na to kilkaset tysięcy rubli z procentów od funduszu zabranego Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu. Towarzystwo to pewien procent swoich dochodów odkładało na tak zwany „fundusz użyteczności publicznej.“ Fundusz ten dosięgnął kilku milionów i miał być przeznaczony na sprawy ogólne. Dowiedział się o tem rząd i owe parę milionów bezprawnie skonfiskował. Jednoroczny procent od tych pieniędzy dano potem na zakładanie kas gminnych. — W każdej gminie, obejmującej w Królestwie kilka lub kilkanaście wsi, jest kasa gminna,

---

— Nieśmy pomoc powstaniu polskiemu! — nalegali członkowie komitetu, który w tym celu się zawiązał, a któremu przewodniczył sławny generał Lafayette, dawny przyjaciel Kościuszki, mąż, który właśnie przyczynił się do wyniesienia na tron Ludwika Filipa.

— Pójdźmy na ochotnika do Polski, aby walczyć za wspólną sprawę! — wołali z zapałem oficerowie francuscy. I jeden z nich Ramorino, wyniesiony na generała, miał odegrać w powstaniu polskiem ważną rolę. Ale też tyle tylko było pomocy ze strony Francyi.

Nie mogło liczyć powstanie polskie na pomoc samolubnej Anglii, będącej w przyjaźni z Rosyą, ani na Austryę, chociaż dla niej potęga Rosyi była najwięcej groźną i chociaż Polacy ofiarowali tron polski arcyksięciu austryackiemu Karolowi. Po różnych tajemnych a fałszywych umowach i wykrętach ministrów austryackich odpowiedział Polakom wszechwładny minister Metternich:

— Austrya nie da wam żadnej pomocy, boście poważyli się złożyć z tronu cara Mikołaja, bo w waszym zarządzie zasiada najzaciętszy, najkrwawszy, jaki być może Jakobin Lelewel!

Najnieprzychylniejszemi dla polskiego powstania były Prusy, a nawet później zawarły formalny układ z Rosyą, obiecując we wszystkiem pomoc. Daremnie też działali w Berlinie minister Mostowski i Albert Grzymała. Sympatye dla Polaków, jakie objawiały się pomiędzy młodzieżą berlińską i profesorami za sprawą profesora Gansa zaraz przytłumił rząd. [1])

Odmówiła swej pomocy powstaniu polskiemu Szwecya, a nie mogła udzielić żadnej pomocy Turcya świeżo przez Rosyę pokonana. Nietylko pomocy, ale nawet neutralności [2]) nie mogła uzyskać Polska w przyszłej wojnie. Austrya i Prusy postawiły na granicach zbrojne oddziały i wyławiały pilnie idące do Polski wszelkie posyłki, jak broń, amunicyę, pieniądze, lekarstwa, szarpie, listy. Na

---

pytanie, postawione w parlamencie rządowi przez obradującego członka parlamentu, z żądaniem wyjaśnień lub wiadomości w jakiej sprawie.

[1]) W Ks. Poznańskiem od kilku lat minął już ten czas, kiedy naczelnym prezesem był Zerboni di Sposetti, a po nim r. 1825 zacny również Baumann. Zerboni ustępując z urzędu wyznał uroczyście, że rozporządzenia wyższe rządu miały źródło swe w życzliwości dla Polaków. Za niego to głosił wyraźnie minister spraw duchownych i oświecenia słowa, które należało złotemi wyryć głoskami, ażeby dziś jeszcze jaskrawo błyszczały i biły w oczy zaciętych zwierzchników-prześladowców; słowa, które w dzisiejszej walce a raczej ucisku, udręczeni ojcowie dziatek, jakoteż prześladowani przezacni duszpasterze z namaszczeniem powtarzać i na nie powoływać się winni. A słowa te są: *„Religia i język są świętościami ludów, tylko poszanowaniem takowych pozyskać można serca poddanych. Nie godzi się nastawać na zniemczenie Księstwa; zniemczenie bynajmniej nie dopomogłoby cywilizacyi i wykształceniu, które głównie na języku narodowym opierać się powinno“.*

Wkrótce potem zaczęły się gwałty i stały ucisk języka w szkole, a polski język w polskiej ziemi przez rząd był uważany za obcy. — Dnia 5. maja 1829 otwarta została w Poznaniu biblioteka publiczna, którą Edw. hr. Raczyński wraz ze wspaniałym pałacem, gdzie była umieszczona, darował Poznaniowi, jako miastu polskiemu. Biblioteka miała 17,000 dzieł a wkrótce zwiększyła się do 30,000, między niemi samych polskich 5000. Nie spodziewał się szlachetny ofiarodawca, że wkrótce zniemczona Rada miejska przywłaszczy sobie ten dar polskiego patryoty, nie licząc się wcale z jego przeznaczeniem. — Na 2-gim sejmie, który odbył się w Poznaniu z początkiem r. 1830 pod laską ks. Sułkowskiego, daremnie ponawiano prośby za pogwałconemi rękojmiami narodowości, daremnie starano się o uniwersytet w Poznaniu, jakoteż o zwrot ziem wydartych i oderwanych od Księstwa. — Morawski, VI, 286, 290.

[2]) *Neutralność,* z łac., bezstronność, niemięszanie się do sporu lub wojny prowadzone przez inne państwa.

z której gospodarze rolni mają brać pożyczki roczne. Urządzenie tych kas wszakże było tak wadliwe, że korzyść z nich była bardzo mała. W początku roku bieżącego nadano im nową niby-to ulepszoną ustawę, ale ułożono ją bez zapytania o zdanie tych co z kas korzystają i ułożono jaknajfatalniej, tak, że kasy gminne staną się już zupełnie nieużyteczne.

Każdy czytelnik powie sobie w tem miejscu — dla czegoż to w Królestwie nie zakładają stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, które dostarczają tak dobrego kredytu w Poznańskiem, Prusach i na Śląsku? Otóż dlatego, że rząd na to nie pozwala.

Rząd chce, by wystarczyły kasy gminne, urządzone przez niego, a wszelkie stowarzyszenia uważa za szkodliwe i dlatego polecił gubernatorom, by pozwolili na zakładanie towarzystw kredytowych tylko w miastach, a gubernatorowie ściśle się tego trzymają i takich towarzystw istnieje w całem Królestwie tylko kilkanaście.

I tu znów zdawało się nam, że w ostatnich latach zajdzie zmiana, zatwierdzono nawet kilkanaście towarzystw kredytowych dla wsi. Ale nagle znów się coś w poglądach władz zmieniło i znów w gub. warszawskiej zaczęli wszelkie podania odrzucać.

W ten sposób rząd rosyjski niszczy wszelką działalność społeczeństwa nawet w tych dziedzinach życia, które nie mają nic wspólnego z polityką i jakby pracuje sam nad tem, by wykazać, że do niczego innego nie jest zdolny, li tylko do niszczenia i burzenia.

S. B.

Przegląd prasy.

W miesiącu maju b. r. w czasie Zielonych Świąt odwiedzali dziennikarze angielscy swoich berlińskich kolegów po piórze, którzy już poprzednio jako pierwsi wybrali się do Anglii. Dziennikarzy angielskich przyjmowano w Berlinie nie tylko gościnnie, ale wprost hucznie i rozgłośnie tak, ażeby cała Anglia mogła nabrać wyobrażenia o żywych sympatyach Niemców do Anglii.

Niemcy w tem rozgłośnem przyjęciu ukrywali cel ważny. Chodziło im o zbliżenie do Anglii, która, wiadomo, łańcuchem sojuszów odgradzała Niemcy od polityki światowej.

Wtem — pojawił się telegram, że p. Kościelski zaprasza do siebie tych samych dziennikarzy angielskich, ażeby naocznie mogli się przekonać o „łaskawych rządach pruskich“ na ziemiach polskich.

Buchnęła wściekłością cała prasa niemiecka. Widziała już stracone wszelkie trudy poniesione na przyjęcie angielskich dziennikarzy, stracone nadzieje zbliżenia się do najsilniejszego i najmędrszego w koncercie światowym przeciwnika swego.

Minął od owej zapowiedzi miesiąc, minęły dwa, trzy, dziennikarze angielscy nie przyjeżdżali. To powinnoby było prasę niemiecką pouczyć, że zbłaźniła się solennie, puszczając w świat taką — dziennikarską kaczkę.

— — — — — — — — —

Zjechali się na *drugą* konferencyę pokojową w Hadze przedstawiciele najprzeróżniejszych państw, by radzić nad rozbrojeniem, względnie nad ograniczeniem zbrojenia się.

Konferencya *pokojowa!* Gdyby istotnie wśród państw miał nastąpić stały i trwały pokój, państwa te musiałyby wpierw uznać swoją politykę gwałtów za niesprawiedliwą. Musiałyby gwałty swoje naprawić. Pierwszym warunkiem pokoju jest zapanowanie — *sprawiedliwości* na świecie.

Wtenczas musiałyby Prusy wyrzec się gwałtem zabranych ziem polskich! Czuje to prasa niemiecka, czuje, że Polacy mieliby *słuszne prawo* doma-

---

wet Francya odmówiła pomocy w komunikacyi[1]) i nie udzieliła żądanej pożyczki pieniężnej.

Wobec tego wszystkiego mogli narzekać dobrze przewidujący mężowie polscy:

— Nasze drobne Królestwo odcięte od reszty świata i otoczone dokoła nieprzyjaznemi potęgami ma prowadzić wojnę z olbrzymią Rosyą! Czyż jest podobieństwo, aby zwyciężyć mogło własnemi tylko siłami i czy nie naraża się na straszny los w przyszłości?!

Ale im odpowiadali ludzie energiczni, pełni zapału i otuchy:

— O nie jest tak źle jeszcze, mamy przecież regularną armię, a posiłki w ludziach i przyborach, choć utrudniane przez rządy, płyną przecież z Księstwa Poznańskiego i z Galicyi! I pamiętajcie, że w polityce wszystko zależy od powodzenia i usposobienie rządów zmieni się jeszcze, gdy tylko dzielne nasze hufce zwycięstwa odnosić poczną!

b. Wojna.

1. Bitwy: pod Wawrem, pod Białołęką, pod Grochowem.

Zadrżała ziemia u granic Polski pod ogromną armią rosyjską, jaka w ciągu lutego roku 1831 walić się poczęła na ziemie Królestwa. Wynosiła ona 160,000 ludzi, a dowodził nią feldmarszałek Dybicz Zabałkański. Polska armia miała zaledwie trzecią część tych sił, bo przeszło 50,000 ludzi; dowodził nią tytularnie ks. Radziwiłł, w rzeczywistości zaś Chłopicki. Podzielone było wojsko polskie na cztery dywizye piechoty: pod Krukowieckim, Żymirskim, Skrzyneckim i Szembekiem, i na trzy dywizye konne, dwie pod Jankowskim i Suchorzewskim, a trzecia rezerwowa pod Skarżyńskim i Kickim.

Ale uparty Chłopicki nie chciał iść za powszechnym głosem i życzeniem narodu.

— Generale zaczepnie działaj, na Litwę, na Ruś wkraczaj, tam bracia nasi czekają tylko, by za broń pochwycić! Każda zwłoka wyjdzie tylko na korzyść Rosyanom!

Tymczasem wódz rosyjski Dybicz, przekroczywszy dnia 5-go lutego granicę aż w jedenastu miejscach, na długiej linii od Kowna aż do Brześcia, dążył z całem swem wojskiem szybko naprzód słusznie postanawiając:

— Wszystkie korpusy na Warszawę! Gdy zajmę stolicę, w kilku tygodniach powstanie zmiażdżę i wojnę zakończę!

W obronnym trójkącie pomiędzy Warszawą, Modlinem a Serockiem[2]) ustawił Chłopicki polskie wojska, rozsyłając nadto na boki korpusy, które Rosyan miały powstrzymywać w pochodzie na Warszawę. Dnia 14-go lutego spotkał się z nieprzyjacielem na prawem skrzydle pierwszy jenerał Dwernicki *pod Stoczkiem*[3]). Miał on 2100 ludzi i 6 dział, ale „nie bał się mary demagogicznej“[4]) i z otuchą spoglądał na swoje ochocze wojsko, którego jazda składała się w połowie z nowozaciężnych z rękami czarnemi od pługa“. To też walka szybko stoczona, a zwycięstwo rozstrzygnęło dzielne natarcie jazdy polskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) *Komunikacya*, z łac., udzielanie, łączenie, znoszenie się z kim; związek, stosunek; wszelkiego rodzaju goścince i drogi tak lądowe jak i wodne.

[2]) Modlin, nad ujściem Narwi do Wisły; Serock nad ujściem Bugu do Narwi.

[3]) *Stoczek*, w połud. wschodn. stronie od Warszawy, pomiędzy Siedlcami a Wisłą.

[4]) *Demagog*, z greck., przywódzca partyi ludowej, podżegacz ludu; mara demagogiczna, tj. obawa ludu, zetknięcia się z nim, obawa burzliwej wszechwładzy ludu.

gać się naprawy zadanego im przed wiekiem gwałtu. I sumienie nie daje jej spokoju. Sądzi ona nawet, że gdyby Polacy dziś do konferencyi hagskiej się udali, delegaci mogliby ich zapewnić cw. swoich *sympatyi*, mogliby im ze *współczuciem* uścisnąć dłoń skrzywdzoną tak, jak to uczynili skarżącym się na Japonię Koreańczykom. I świat się dowie o Prusach, że mają na sumieniu gwałt — a na ustach tylko sprawiedliwość.

Prasa niemiecka nie może takiego poniżenia znieść — więc puszcza w świat wiadomość, że Polacy wysyłają do konferencyi memoryały, ale że ci Polacy to są właściwie gwałcicielami Niemiec, chcą się oderwać od Prus, przez co Prusy i Rzesza niemiecka gotowe upaść.

Okazuje się to nieprawdą. Cel jednakże został osiągnięty. Polacy przed światem pokojowym w Hadze przedstawieni są jako kłóciciele pokoju, niegodni sympatyi i współczucia zebranych tam delegatów.

— — — — — — — — —

Równocześnie zjawia się wieść opiewająca, że

„w Zakopanem w Galicyi odbyła się konferencya wszystkich przywódców polskich z pod wszystkich zaborów. Wybrano na niej międzyparlamentarny komitet, do którego należą polscy posłowie parlamentu niemieckiego, austryackiej izby posłów i byli deputowani do dumy rosyjskiej. Polacy będą odtąd we wszystkich zaborach postępować zgodnie według jednolitego planu. Dalej uchwalono w prowincyach polskich w Prusach urządzać cały szereg zgromadzeń protestujących przeciw projektowi wywłaszczenia Polaków. Oprócz tego uchwalono wpłynąć na rządy: rosyjski (!) i austryacki, by sprzeciwiły się temu projektowi.“

Oczywiście i to nieprawda. Dodajmy nadto jeszcze takie wiadomości jak o odbytym w Poznaniu zlocie sokolskim przy udziale 200 (!) sokołów i o tem, że w *Duisburgu* rzekomo mieli się zebrać delegaci towarzystw polskich na obczyźnie, by założyć konsumy celem bojkotu handlu niemieckiego, a stanie nam przed oczami pytanie: w jakim celu się to robi?

Cel jest naszem zdaniem jasny, Chodzi o to, ażeby zebrać dowody na to, jakoby Polacy z pod zaboru pruskiego istotnie byli „wewnętrznym wrogiem państwa pruskiego“. Jeżeli dowód ten uda się prasie niemieckiej przeprowadzić, wówczas też zabezpieczona będzie i nadal złoto-dajna polityka antypolska.

Ciekawem też jest i to, która część prasy niemieckiej przykłada ręki do tej kłamliwej roboty. Otóż jest to prasa żydowsko-niemiecka, której koła rządowe często używają jako narzędzia swego wtenczas, gdy one same wstydzą się wystąpić z przyłbicą otwartą.

Oczywiście! żydzi! Im prawda czy nieprawda, honor czy wstyd, uczciwość czy nieuczciwość — im to wszystko jedno, byle interes szedł.

Ale prasa polska gruntownie im ten interes zbrzydziła. Wykryła wszelkie te kłamstwa i napiętnowała je należycie. Nauczka to dość dotkliwa. Niestety Niemcy t. j. prasa niemiecka ubezpiecza się przeciwko skutkom takiej nauczki — milczeniem. Pogłoskę rozpuści — gdy jednakże pogłoska wykaże się nieprawdziwą — o tem milczy.

I w tem przemilczeniu prawdy tkwi największe zło. Setki tysięcy czytelników dowiadują się fałszywych o nas wieści. A ponieważ wieści te nie bywają prostowane, skutkiem tego setki tysięcy nabierają fałszywego o nas wyobrażenia.

Oczywiście, że takie postępowanie jest szczytem podłości, to też nie dziw, że przykładają do niej ręce żydzi. Za to lud polski im się w ten sposób odwdzięcza, że napycha im kieszenie swoim krwawo zapracowanym groszem.

* * *

Niemcy nie wahają się burzyć i opinii zagranicznej przeciwko nam. A i tam znajdują się usłużne duchy. I tak umieściło w ostatnim czasie francuskie pismo „*Le Continent*“ artykuł, w którym autor daje wyraz niemieckiej opinii o Polakach i sprawie polskiej. Autor wcale śmiało korzysta z ofiarowanej sobie gościnności i nie waha się zrobić opinii francuskiej zarzutu, że wzięła stronę Polaków, nie badając rzekomo istotnego położenia. Jakież owo położenie? — Przedstawia je ów Niemiec tak:

„W dawniejszych czasach Niemcy sięgali aż po Wisłę, później rozszerzeni w Poznańskiem, byli uciskani przez Polaków, aż do chwili, gdy rząd pruski odzyskał te kraje. Zajęcie jednej części Polski przez rząd pruski było datą uwolnienia z niesłychanego ucisku nie tylko ludności niemieckiej, ale i chłopów polskich uciemiężonych przez szlachtę. — Zaczął się okres energicznej pracy cywilizacyjnej. Prusy przemieniły ten kraj w prowincyą kwitnącą, zamieszkałą przez ludność, która się cieszy wszystkimi politycznymi prawami konstytucyjnego państwa. Prowincye wschodnie są więc ziemią niemiecką, odzyskaną nie przez siłę oręża, ale przez pracę cywilizacyjną.“

Znaczenie kwestyi polskiej dla Niemiec autor owego artykułu tak opisuje:

„Gdyby Niemcy straciły prowincye polskie, ich stanowisko w świecie byłoby bardzo zagrożone. Granica nowego państwa polskiego z natury rzeczy wrogiego Niemcom znalazłaby się o 120 klm. od Berlina. Miliony obywateli niemieckich musiałyby przyjąć narodowość polską. Niemcy się bronią, (?) Bismarck założył komisyą kolonizacyjną, która zakupuje własności polskie i osadza tam chłopów niemieckich. Rozpoczęła się zatem walka o posiadanie ziemi. Jeżeli lud niemiecki i rząd cesarski staną na wysokości swego zadania, walka ta może się skończyć tylko zwycięstwem niemieckiem.“

Pięknie brzmi ta nuta nadziei tryumfu. Tylko — idzie ona poprzez trupy nasze. A my ochoty umierać nie mamy. My żyć chcemy, i żyć pragniemy, my żyć będziemy, bo to od naszej woli zależy. A sprawa polska będzie dla Prus stanowiła ową hydrę polityczną, której głowa odrastać będzie, bo niema dziś takich Herkulesów, którzyby ją zmódz zdołali.

Sposób zresztą, w jaki artykuł „Le Continenta“ przedstawia przeszłość Polski i sprawę polską jest tak typowo hakatystyczny, że dziwić się trzeba Francuzowi tej przyjaźni. Zdaje się prasa francuska w ten sposób odwdzięcza się Niemcom za zakłócanie spokoju w Marokku. Dziś już wiadomo, że podczas całych rozruchów — ani jednego nie *zabito Niemca!* Zdaje się to aż nadzbyt podejrzane.

* * *

A my zawsze względem Niemców jednacy. W słowach zdaje się brzmieć nam nuta oburzenia — w czynach plackiem padamy przed niemieckim postępem, cywilizacyą, ich zdolnościami etc.

Na dowód tego przytaczamy następujący znamienny fakt. W „Illustr. Landw. Ztg.“ umieścił hr. Koziebrodzki z Galicyi następujące ogłoszenie:

„szuka się dzielnego, energicznego, porządnego polowego do większego majątku w wschodniej Galicyi pod kierownictwem inspektora. Znajomość języka polskiego *pożądana* (!). Pośredników wyklucza się. Oferty nadesłać pod adresem

Ekscelencya hr. Koziebrodzki,
Podhajczyki Justynowe, poczta Trembowla, wschodnia Galicya.“

Do tego ogłoszenia dodaje „*Dziennik Berliński*“ takie uwagi:

„A co, czy to nie piękny sposób popierania swoich ze strony galicyjskiej „ekscelencyi.“ Chyba ekscelencya hr. Koziebrodzki nie będzie mógł twierdzić, że w całej Galicyi wschodniej i zachodniej, a w danym razie w Królestwie lub Księstwie nie mógł znaleść polowego Polaka. Gdyby się był o niego starał i umiał się z nim obchodzić po ludzku, na pewno by znalazł w swojej okolicy.

Ale żeby szukać takiego człowieka aż przez *berlińską* gazetę, a więc oczy-

wiście *Niemca*, i pisać, że znajomość języka polskiego jest nie konieczną, tylko *pożądaną*, to jest to skandal, który wywołać powinien oburzenie w całej opinii polskiej w Galicyi.“

Najzupełniej piszemy się na te uwagi „Dz. Berl.“ Niestety są w społeczeństwie naszem dość liczne jednostki, które najzupełniej czują się — poza obrębem własnego społeczeństwa. Gdyby społeczeństwu temu nawet stryczek do gardła przywiązano, to by ich nie poruszyło, byleby tylko ich gardła zostały bezpieczne. Do takich widocznie należy „ekscelencya“ Koziebrodzki.

* * *

„Postęp“ podaje w artykule o „Swiętojózefaciu“ smutne koleje, jakie instytucya ta, wspierająca młodzież polską na obczyźnie i umożliwiająca jej uczęszczanie do gimnazyów a nawet na wszechnice, szczególnie w ostatnim przechodziła czasie.

Założycielem tej instytucyi był ks. dr. Lis z Prus Zach. On też był jeżeli nie właściwym to odpowiedzialnym kierownikiem Swiętojózefacia, którego kasa spoczywała do roku jeszcze w rękach jednego z redaktorów „Wiarusa Polskiego.“ Póty też pomimo skarg, jakoby redaktorzy „Wiarusa Polskiego“ przy rozdzielaniu stypendyów osobistemi kierowali się względami, sprawa Swiętojózefacia stała dobrze. W przeszłym roku złożył p. Antoni Brejski urząd kasyera, a ks. dr. Lis wyrzekł się odpowiedzialności za dalsze prowadzenie instytucyi.

Wybrano więc komitet. Skarbnikiem miał zostać p. Jan Kwiatkowski z Herne. Jednakże skutkiem opozycyi p. Barańskiego z Wanne kasa p. Kw. się nie dostała lecz p. Hajnowi, który — jak teraz donosi „Postęp“ — skrzywdził kasę na 414 mk. „Postęp“ radzi, ażeby przystąpiono do utworzenia stałej organizacyi na wzór pomocy naukowej im. K. Marcinkowskiego lub na wzór podobnej organizacyi w Prusach Zach. i na G. Śląsku.

Naszem zdaniem jestto jedyny sposób utrwalenia tak pożytecznej instytucyi, a przez zaprowadzenie publicznej kontroli zabezpieczenie kasy od malwersacyi.

Radzimy też rodakom naszym na obczyźnie nie stawiać na czele ludzi, którzy zbyt głośno afiszują swój patryotyzm i zanadto wypychają się na pierwsze miejsce. Lepiej wybrać ludzi cichych, a uczciwych.

* * *

Powiat inowrocławski zainicyował już wiecową akcyę przeciwko projektowi wywłaszczenia. Na niedzielnym wiecu przyjęło w Inowrocławiu następującą rezolucyę:

„Zebrani Polacy na wiecu powiatowym w Inowrocławiu, dnia 18 sierpnia 1907 roku protestujemy w obliczu Boga i w obec ludzkości cywilizowanej całego świata przeciw zamiarom naszych nieprzyjaciół, pragnących nas gwałtem wywłaszczyć z ziemi ojców naszych, na której tutaj od przeszło 1000 lat nasi przodkowie żyli i pomarli i na której my i nasi potomkowie żyć i umierać jako Polacy pragniemy.

Wywłaszczenie nas przemocą byłoby najohydniejszą zbrodnią i podeptaniem najświętszych praw własności człowieka, jakiego mogliby się tylko dopuścić najdziksi barbarzyńcy ubiegłych dalekich wieków.

Oświadczamy uroczyście że prawo wywłaszczenia nas z ziemi ojczystej musielibyśmy uważać jako niebywały w 20 wieku gwałt i zbrodnię popełnioną na nas i wołającą o pomstę do Boga.

Wzywamy społeczeństwo polskie, ażeby przeciw ohydnemu projektowi bandyckiemu wywłaszczenia nas z ziemi ojczystej zwoływało wszędzie wiece i na nich piętnowało w należyty sposób okrutne zamiary zbrodnicze polakożerców pruskich, ażeby ten głos protestu i bólu polskiego ludu doszedł wszędzie tam, gdzie biją jeszcze serca ludzkie, które się brzydzą gwałtem i bezprawiem wszelakiem.“

Stanowisko nasze wobec tej akcyi jest znane. Nie będziemy go tutaj ponownie wyłuszczali. Nie chcemy się bowiem narazić na zarzut, jakobyśmy tej akcyi przeszkadzać chcieli. Uczynimy to jednakże z tą chwilą, gdy się przekonamy, że akcya zapoczątkowana przez „Dz. Kuj.“ może nam — zaszkodzić.

Przegląd polityczny.

Zdaje się, że niema w żadnej dziedzinie tyle złudzeń, jak w polityce.

N. p. od przeszło pół wieku morze atramentu wypisano na pienia pochwalne dla mocy ludów, dla władzy ludów, dla ich rządów.

Czy były to chwalby uzasadnione? Zapewne, że formy rządów się zmieniły. Nie królowie *sami* nadawali prawa, lecz władzy tej ustąpili w części ludom swym. Widome ślady zysków ludów, to — sejmy, parlamenty, izby poselskie, czasami radami państwa zwane.

Pozostawiły jednakże ludy królom swoim moc *nieograniczoną*, gdy chodzi o reprezentacyę *na zewnątrz*, o stósunki z ludami sąsiedzkimi do tego stopnia, że według własnego uznania królom wolno dobre lub złe z sąsiadami utrzymywać stósunki, wolno im z nimi żyć w przyjaźni, lub zaniecić pożogę wojenną, przez którą tysiące synów jednego i drugiego kraju narażeni bywają na utratę życia.

Te uwagi nasuwają się pomimowolnie, gdy się czyta wiadomość o ostatnich spotkaniach monarszych już to w Swinoujściu cara rosyjskiego z cesarzem Wilhelmem II., już to w Wilhelmshöhe Wilhelma II. z Edwardem VII., już wreszcie Franciszka Józefa austryckiego z Edwardem VII. w Ischlu. Monarchowie ci radzą nad sprawami obchodzącemi ich kraje — bez ludów, sami, tylko w gronie swoich urzędników.

A ludy? Im pisma donoszą o wspaniałych przyjęciach, jakie monarchowie wzajemnie sobie gotują, o śniadaniach, obiadach, o przejażdżkach, toastach, mundurach, w jakich monarchowie się witają. Donoszą — (w domyślnikach) — o czem monarchowie rozmawiali, jak sprawy załatwili, jak się żegnali, i jakie wrażenie dane odwiedziny pozostawiły.

Faktem nie do zaprzeczenia jest, że samowładztwo, absolutyzm monarchów, ograniczony na wewnątrz pozostał w stósunkach zewnętrznych państwa do państwa, kraju do kraju, ludu do ludu — ten sam nieograniczony, nieokiełznany niczem prócz woli samego monarchy.

To też nie dziw, że afiszowana rozgłośnie *pokojowa* konferencya w Hadze zawodzi. Zawodzić ona musi, bo nie decydują o pokoju na tej konferencyi ludy lecz — rządy, w ostatnim rzędzie: *monarchowie!*

Przykre też na doprawdy robiły wrażenie przygotowania do obecnej konferencyi hagskiej, przykre jeszcze bardziej wrażenie robią obecne obrady.

Król Edward angielski z kwestyi rozbrojenia zrobił — kwestyę znaczenia wpływów różnych państw. Kazał więc projekt rozbrojenia zakomunikować różnym rządom z zapytaniem, czy projekt ten zechcą poprzeć. Ile to skutkiem tego powstało wrzawy! Niemcy w krzyk, że to nic więcej jak nowa chęć „okrążenia“ ich. Następują gonitwy i wyścigi o to, kto „za“ albo „przeciwko“ projektowi rozbrojenia więcej zbierze zwolenników.

I cóż się stało? — Otóż to, że bądź co bądź *niesłychanej wagi dla pokoju świata sprawa rozbrojenia* skończyła się w ub. tygodniu uchwaleniem *pobożnego życzenia*, ażeby państwa sprawę tę badały, bo zbrojenia zaczynają przekraczać granice ekonomicznej możności narodów.

Aha!... więc gdyby tylko ludy więcej podatków płacić mogły, o ograniczeniu zbrojenia nikt by nie pomyślał.

Powinny to sobie ludy dobrze spamiętać, że za pomocą podatków na armie i floty same na skórę swoję kręcą bat. Kiedy jednakże ludy wywalczą sobie władzę, by decydować o tem, ażeby krwawo zapracowany grosz ich nie szedł na cele wzajemnego mordowania się?......

Niemcy-Prusy: W środę dnia 14-go b. m. przyjmował cesarz Wilhelm II., króla angielskiego Edwarda VII. Król angielski przybył do Wilhelmshöhe w okolicy Kasslu o godz. 2-giej po południu, o godz. pół do 12-tej nocą odjechał, by odwiedzić cesarza austryackiego Franciszka Józefa.. Odwiedziny więc trwały krótko, były jednak według zgodnych komunikatów i niemieckiej i zagranicznej prasy bardzo serdeczne. Monarchowie żegnali się z zadowoleniem, tak że zdawało się, jakoby w sprawach, o które ze sobą traktować mieli, doszło do jak najlepszego porozumienia.

Prasa niemiecka sama podkreśla, że odwiedziny te zupełnie inaczej wypadły jak przeszłoroczne.

Austrya: Jeżeli cesarz Wilhelm II. z królem Edwardem pocałowali się (jak pisma niemieckie donoszą — serdecznie) na oba policzki, to z cesarzem Franciszkiem Józefem król Edward całował się kilkakrotnie, nie mogąc nacieszyć się tem, że spędzi z nim dzień cały. I tu przyjęcie huczne.

W pauzach między śniadaniem a przejażdżką, przejażdżką a teatrem, teatrem a obiadem, i to o ile na to pozwala czas wolny od przebierania się to w taki to w owaki mundur — monarchowie osobno, monarchowie ze swymi ministrami, albo też ministrowie osobno radzą nad sprawami politycznemi, pomiędzy któremi zjazd cara z Wilhelmem II. kwestya macedońska i kwestya marokańska na pierwszym są planie. I czegóż się ludy dowiedziały o ich obradach? — Tego, że między Austryą a Anglią niema nieporozumienia!

Anglia: Kolonizacyjna polityka angielska odniosła w tych dniach nowy tryumf. Oto autonomiczny parlament transwalski uchwalił zakupić największy dyament, jaki wogóle istnieje na świecie, a jaki znaleziono w transwalskich kopalniach dyamentu i podarować go królowi Edwardowi VII. jako ozdobę do korony królewskiej w dowód wdzięczności za udzielenie autonomii. Co ciekawsze wniosek ten przeszedł głosami samych *burów* przeciwko głosom progresistów *angielskich!*

Za to Niemcom kolonie się nie udają. W tych dniach wkroczył na terytoryum niemieckie z angielskiego znany wódz murzynów Morenga. W tym samym czasie ekscelencya Dernburg zbliża się do owych kolonii. Spotkanie Morengi z ekscelencyą Dernburgiem byłoby bardzo ciekawe. Żałować tylko trzeba, że ekscelencya takich przygód nadzwyczajnych nie lubi i z pewnością unikać ich zechce.

Ameryka: Strejk telegrafistów trwa w dalszym ciągu. Według wiadomości najnowszych strejk przybierze zapewne rozmiary ogólnego strejku telegrafistów, pomimo że widoki uzyskania żądanych napraw nie są zbyt pomyślne, a mianowicie z powodu znacznej depresyi w handlu i przemyśle. Podobno siły uzupełniające wystarczą dla załatwiania bieżących telegramów.

Na kassubskim brzegu.

Stary Kaszuba gwarzy: „Hej!
Nie damy się, nie damy!
Sprawi to Pan Bóg i będzie lżej
A my: sumienie mamy!
Zatracać siebie: wstyd i grzech,
Nie zniemczą nas, mój panie,
Od wieków my Polaki, niech
Na wieki tak zostanie!“

Stary Kaszuba, siwy dziad
O spracowanej dłoni,
Na przewróconej barce siadł
I wzrokiem fale goni.
Morze mu śpiewa, nuci mu
Tonami echowemi:
„Do ostatniego, starcze, tchu
Bądź wiernym twojej ziemi.“

Tam na Oksywskiej górze, hen,
Kościółek czuwa stary,
Jakby przeszłości święty sen,
Kochania sen i wiary.
Cmentarz ku morzu spada w dół,
Krzyżami patrząc w słońce,
Splot go zieleni objął w pół,
W pół fale śpiewające.

Na Anioł Pański bije dzwon
I leci głos w przestworza,
Tym co znaleźli cichy schron
Na dnie wielkiego morza.
Odsłonił rybak siwy łeb,
Smutek mu serce mroczy —
I na bezmiernej wody step
Stęsknione puścił oczy.

Tam na burzliwej fali — człek
Nie pewny swej godziny:
Gdy rozhukany wichr się wściekł
Łódź wnet pochwyci siny,
Ale na lądzie gorzej, ach,
Kaszubie się nie szczęści:
Niemieckiej mocy wieczny strach,
Brutalnej pruskiej pięści.

Lecz Bóg, co w pieczy ptaki ma
I liche kwiecia polne,
I tobie, ludu, kiedyś da
Bezpieczne dni i wolne;
Rozwieje słońce ciężkie mgły
Dla tych, co sercem bliscy —
I nie zginiecie, bracia, wy,
Jak nie zginiemy wszyscy!

Berlin — Monachium.

Monachium, w sierpniu.

Te dwa w nagłówku wymienione miasta — to jakby dwa ogniska dwóch przeciwległych obozów, stolice dwóch różnych światów, które się znalazły połączone we współczesnych Niemczech. Owo Niemcy, które w postaci Rzeszy otrzymały tak jednolitą i odrębną na zewnątrz organizacyę polityczną, wewnątrz nie są dotąd ani ekonomicznie, ani kulturalnie zupełnie jednolite. Różnice pierwszego rodzaju grały główną rolę, obok różnic politycznych, przy powstawaniu i w pierwszym okresie rozwoju Rzeszy. Dziś gdy stosunki gospodarcze wyrównywają się coraz bardziej na całym obszarze Niemiec, występują jednocześnie wyraziściej różnice kulturalne, które stopniowo krystalizują się i znajdują swój wyraz symboliczny właśnie w tych dwóch nazwach miast: Berlin — Monachium.

Między temi stolicami północy i południa Niemiec istnieje nietylko współzawodnictwo — między niemi istnieje niechęć, antagonizm, który jest tylko wyrazem tej niechęci, jaka nurtuje głucho w stosunku między północną a południową częścią Rzeszy, między Prusami a Bawaryą przedewszystkiem.

I my tutaj wiemy coś o tym antagonizmie, notujemy czasem jego objawy w postaci wypowiedzeń się najjaskrawszego organu tego kierunku, jakim jest *„Bayerisches Vaterland,“* oceniamy jednak jego znaczenie zwykle nietrafnie, przenosząc je całkowicie z dziedziny kulturalnej w polityczną. Tymczasem antagonizm ten jest obecnie politycznie zupełnie bierny, wobec czego budowanie na nim jakichkolwiek nadziei w nieprzyjaznym dla Niemiec kierunku jest zgoła mylnem; z drugiej zaś strony — jest on głębszym od niechęci politycznych, gdyż sięga przyczynami aż do pierwiastków kultury.

Dobre ujęcie istotnych cech tej niechęci znalazłem świeżo w artykule doskonałego znawcy Bawaryi, nieco zbawaryzowanego i lubianego tu Prusaka O. J. Bierbauma, zamieszczonym w

niedawno założonym przez Sombarta tygodniku „*Morgen*.“

Wywody swoje Bierbaum nawiązuje do poglądów dra Sigla, słynnego od niedawna redaktora pisma „*Bayerisches Vaterland*,“ najbardziej zażartego nieprzyjciela Prus w całej Bawaryi. Ujmując bliżej te poglądy, Bierbaum mówi:

„Wyraz partykularyzm nie określa w tym wypadku sprawy, a szumne i złośliwe słowo o wrogiem usposobieniu wobec Rzeszy — jest tu całkowicie nie na miejscu. Przypominam sobie dokładnie, że dr. Sigl sam mi kiedyś oświadczył, iż nie jest bynajmniej wrogiem Rzeszy, ani tak głupim, aby wierzyć w możność samodzielnego rozwoju Bawaryi po za Rzeszą. On zapewniał, że nienawidzi Prusaków właśnie dlatego, że oni wcale nie są Niemcami. Nazwał ich — o ile przypominam sobie — Wendami, czy Kaszubami, słowem mieszaniną słowiańską, opanowaną przez tępogłową arystokracyę obcą, zawdzięczającą swoje pewne zdolności umysłowe jedynie domieszce żydów. Jego ideałem były wciąż jeszcze wielkie Niemcy, zjednoczone pod berłem Habsburgów. Nowożytne barwy cesarstwa niemieckiego były dla niego „w dwóch trzecich pruskie, a w jednej trzeciej — socyalistyczno- czerwone.“ Barwy czarno-*żółto*-czerwone byłyby dlań znacznie sympatyczniejsze.

Z tych specyalnie siglowskich zapatrywań nie wiele się utrzymało przy życiu, chociaż stojące u szczytu powodzeń centrum bawarskie może dotąd niemi potrosze zatrąca. Do czarno-białego koloru w barwach Rzeszy przyzwyczajono się; gdy jednak chodzi o wywieszenie z jakiegokolwiek powodu flagi, chociażby to było nawet z powodu urodzin cesarskich, wtenczas wesoły i ulubiony kolor niebiesko-biały [1]), pasujący tak dobrze do nieba i powietrza, zapanowuje tak niepodzielnie nad odrobiną czarno-biało-czerwonego, że ten ostatni wygląda wprawdzie arcynobliwie, ale wcale nie wesoło.“

Tu następuje liryczny wywód o kolorze biało-niebieskim, po którym Bierbaum tak ciągnie dalej:

„Kolor biało-niebieski jest bawarski, i niezliczone biało-niebieskie oczka chorągwi bawarskiej, są jakby językami, które nigdy nie ustają mówić: bawarskie jest wprawdzie niemieckiem, ale nie może i nie chce zostać pruskiem. I w tej mowie zawiera się coś więcej po nad opór mniejszego wobec większego. Te biało-niebieskie dążności, skierowane ostentacyjnie nie przeciw czarno-biało-czerwonemu, ale specyalnie przeciw czarno-białemu kolorowi [2]), dają bez nienawiści wyraz tej odrębności południowo-niemieckiej, która wprawdzie nauczyła się cenić dobre strony północno-niemiecko-pruskiego porządku, ale jest dość świadomą siebie, aby wiedzieć, że i ona ma swe zalety, któremi chce się cieszyć bez przeszkody.“

Z powstaniem Rzeszy przewaga i kierownictwo przesunęły się na północ. Berlin stał się stolicą Rzeszy i ośrodkiem polityki niemieckiej. — Nikt w zasadzie nie ma nic przeciw temu. Ale podobnież, jak książę Ludwik bawarski zaprotestował słusznie przeciw nazywaniu go wasalem cesarza niemieckiego, tak również protest wywołuje pojęcia w rodzaju tego naprz., że Monachium jest sobie tylko stolicą zwyczajnej prowincyi. Nikt nie zaprzecza znaczenia nowoczesnego rozwoju politycznego, pełnego dla niemieckości tak znacznych korzyści; ale jednocześnie — i słusznie — kładą tu nacisk na to, aby ten nowy rozwój ku jednolitej całości nie pomijał i nie uciskał tego, co się rozwinęło w ciągu długich okresów dziejów z odrębności ludu tutejszego. Kultura południowo-niemiecka jest starszą od północnej, i opiera się na pierwiastkach ludowych, które wprawdzie są inne, niż naprz. pruskie, ale z pewnością nie mniej niemieckie od tych ostatnich. Ten właśnie rodzaj kultury, związanej ściśle z kościołem katolickim, ten południowo-niemiecki sposób zapatrywania się na życie i prowadzenia go, — pragną tu widzieć uszanowanym i zachowanym, jakkolwiek nikt nie zaprzecza korzyści, jakie zawdzięczają Niemcy niektórym specyalnie pruskim właściwościom. Te korzyści są tu uznawane, a jednak się czuje, że ta ścisłość, ta zdolność do subordynacyi, ten zmysł porządku policyjnego, ta chłodna rozsądność, ten ostry dowcip i ta pewność rachunku, szybkość ujęcia i pośpiech pracy, gorączka życia i użycia, lekceważenie błogiego spokoju, — że wszystkie te rzeczy — wprawdzie bardzo są szacunku godne, a jednak w ich północnej postaci — południowo - niemieckiemu charakterowi obce. Przytem — mają one swe odwrotne strony, które się tu nie podobają.

Bawar — żeby wymienić tylko niektóre jego cechy — ma wstręt do popisywania się rozkazywaniem, do wszystko poprawiającego wścibstwa, przesadnej zuchowatości, do ciasnego ducha kastowego, do pewnego siebie samochwalstwa, nerwowej chęci przewodzenia we wszystkiem, napuszonej frazeologii, zbyt szybkich wniosków a niecierpliwych sądów. Jest on właściwie zachowawcą, lecz jednocześnie urodzonym demokratą. Może on naprzykład być bardzo pobożnym i jednocześnie wymówić wcale nie w delikatny sposób posłuszeństwo swym duchownym przewodnikom, gdy ci — jak to było n. p. w ostatnich wyborach do parlamentu — chcą nim kierować również i po za sprawami duchownemi. Może on być socyalistą i razem entuzyastycznym wielbicielem nietylko Ludwika II, ale nawet księcia Alfonsa[3]). Policya nic imponuje mu bynajmniej. Respekt dla wielkich słów, chociażby padały one z najdostojniejszych wyżyn, nie jest mu również właściwy. Pomimo całej swej lojalności, nie jest w stanie zdobyć się na służalczość. Górnobawarski chłop mówi zarówno do swego proboszcza, jak do swego sędziego przez „ty“ i byłby zdolny tak samo zagadnąć monarchę, bez najmniejszej chęci okazania mu nieuszanowania.

Sposób zachowania się niektórych oficerów pruskich wobec „cywilusów“ tu byłby nie do pomyślenia. Wogóle cała różnica między pruskością a bawarskością nie uwidocznia się w niczem lepiej, jak w sposobie zachowania się oficerów pruskich i bawarskich. Pewien Francuz powiedział mi kiedyś: pruski oficer jest bardziej stylowy — bawarski — bardziej kulturalny. Również stosunek dynastyi do ludu jest tu zupełnie odmienny, niż w Prusiech. Ma on tu coś niewymuszonego; między ludem a panującymi stoi tu mniej przegródek. Wittelsbachowie są bardzo dumnym rodem; lecz zaznaczają tę dumę już lat przeszło tysiąc panującej rodziny w stosunku do innych rodzin panujących, nie zaś w stosunku do ludu, na czele którego od tak dawna stoją. Surowa, hiszpańska etykieta, która cechuje uroczystości wewnętrzne dworu bawarskiego, znika zupełnie przy zetknięciu się Wittelsbachów z ludem.

Jest rzeczą charakterystyczną, że dwóch członków rodziny Wittelsbachów praktykuje obecnie jako lekarze, inny zaś z nich bierze udział w orkiestrze teatralnej podczas uroczystości Wagnerowskich w Monachium. I proszę nie myśleć, że w postaci dyrygenta! Nie, — jako zwykły skrzypek, idący za wskazaniami najzwyczajniejszej mieszczańskiej batuty.[4])

[1]) bawarski.

[2]) pruskiemu

[3]) Jeden ze współczesnych książąt, niezmiernie popularny w Bawarji.

[4]) i że — dodamy od siebie — jedna z księżniczek uczęszcza obecnie na uniwersytet monachijski.

Niezależność sztuki jest uznana w najwyższych nawet kołach. Wspieranie jej uchodzi za szlachetny obowiązek, ale nie prowadzenie jej na pasku.

Gdy monachijski świat artystyczny podzielił się na dwie części i zaszło „ustąpienie na świętą górę modernizmu“, wiekowy książę regent był upodobaniami swemi niewątpliwie po stronie „starych“. Mimo to, nie przyszło mu nawet na myśl rzucić młodym groźnego okrzyku — Quos ego! Poprostu zaczął chodzić od tego czasu na dwie wystawy sztuki, i kupować swoje ulubione zwierzęta w obu obozach malarskich.

Pozwalać, — nie rozkazywać — oto zasada biało-niebieska. I to na wszystkich polach. Wszelkim prądom, powstającym w narodzie — artystycznym, umysłowym, politycznym pozostawia się wedle możności swobodę rozwoju, i ujmuje się je w karby bardzo ostrożnie, a nigdy przez stosowanie gwałtu. W ten sposób osiąga się, że liberałowie twierdzą, iż rząd jest klerykalny, zaś klerykali — że rząd jest w rękach liberałów. A rząd naprawdę jest tylko szczerze i uczciwie konstytucyjny.

I bardzo niemądrze postępują ci krótkowidze północno-niemieccy, którzy traktują Bawaryę z pobłażliwą przyjaźnią, jak pewnego rodzaju dobrodusznego, ale zacofanego, przez katolicyzm i zbytnie picie piwa nieco ogłupiałego krewniaka.

Bawar nie jest bynajmniej głupi; on jest tylko biało-niemiecki. I tem właśnie dowodzi najwymowniej, jak dalece głupim nie jest.

Leszek.

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy“, prosimy, ażeby doniesienia swoje przesłały nam najpóźniej *do srody wieczorem.* W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane później, redakcya „Pracy“ nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Walne zebranie Tow. rolniczego inowrocławsko-strzelińskiego odbędzie się w czwartek, dnia 5. września 1907. o godz. pół do 3. po południu w hotelu Basta w Inowrocławiu.

Porządek obrad: 1. Zagajenie zebrania i wybór przewodniczącego. 2. Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zebrania i nadeszłych korespondencyi. 3. Sprawozdanie ze zjazdu delegatów Tow. fil. z Zarządem Centr. Tow. Gosp. w Poznaniu. Ref. p. W. Mlicki. 4. W jakich warunkach opłaca się tucz bydła, a w jakich gospodarstwo mleczne? Ref. p. L. Wichliński. Koref. p. dr. Brodnicki. 5. O zyskowności chowu owiec. Ref. p. dr. Dąmbski. 6. Temata rozpraw i pogadanek na przyszłe Walne zebranie. 7. Wnioski członków. O jak najliczniejszy udział uprasza *Dyrekcya.*

* * *

Walne zebranie Kółek rolniczych powiatu pleszewskiego odbędzie się w niedzielę 25. bm. w Pleszewie na sali hotelu Victoria o godz. 4. po poł.

Artur Szenic, wicepatron.

* * *

Zjazd Towarzystw Śpiewu okręgu ostrowskiego odbędzie się — jak wiadomo — w niedzielę dnia 25 sierpnia w Raszkowie. W zjeździe biorą udział nie tylko Koła należące do okręgu, lecz także z innych okręgów np. jarocińskiego i krotoszyńskiego.

Wiadomości.

* **Spisy wyborców** *uprawnionych do wyboru radnych miejskich w Poznaniu* wyłożone są do 30 sierpnia w starym ratuszu, sali B. na pierwszem piętrze. Przeglądać je można od 8 do 1 i od 3 i pół do 6.

Niechże nikt nie zaniedba przekonać się, czy w spisach jest pomieszczonym i czy nazwisko zapisanem jest poprawnie.

* **Echa** *głośnego procesu p. Biedermanna.* Na podstawie wyniku procesu p. Biedermanna, jaki toczył się w kwietniu r. b. przed sądem ziemiańskim w Pile, wdrożonem zostanie, jak pisma niemieckie donoszą, postępowanie karne przed sądem honorowym przeciw pozasłużbowemu majorowi Hintzemu w Bydgoszczy i pozasłużbowemu pułkownikowi Bergerowi-Langenfeldt w Berlinie, ponieważ stali z p. Biedermannem w bliższych stosunkach celem pośredniczenia w kupnie majątków od Niemców.

* **Towarzystwo dziennikarzy** i literatów polskich na rzeszę niemiecką urządza, jak wiadomo, swoją doroczną zabawę latową w niedzielę 25-go b. m. w ogrodzie p. Swiderskiego na Wzgórzu św. Łazarza. Na program składają się: koncert całej orkiestry Tow. Muzycznego pod osobistem kierownictwem p. Leona Ponieckiego, wielka gra fantowa, kulanie w kręgle o premie dla pań, strzelanie do tarczy o premie dla panów, poczta marokańska, własna cukiernia i owocarnia i bezpłatne premie dla dzieci. Premie wystawione będą od piątku począwszy w składzie p. Jarosza (Mały Bazar) przy ul. Wilhelmowskiej. Wieczorem taniec na sali.

Wstęp dla dorosłych 50 fen., dla dzieci 10 fen. Początek ze względu na krótkie wieczory o godzinie pół do 4-tej. Dochód z zabawy przeznaczony na zasilenie funduszu emerytalnego Towarzystwa. Dola redaktorów, mianowicie w ostatnim czasie, aż nadto jest znaną. Publiczność z Poznania i prowincyi z pewnością bez osobnej zachęty pospieszy w niedzielę na Wzgórze, aby licznem zebraniem się dać dowód sympatyi dla naszych pracowników pióra.

W razie niepogody zabawa odbędzie się na sali, mieszczącej wygodnie tysiąc osób. Zarząd Towarzystwa postara się o to, aby tramwaje do Starego Rynku kursowały do godziny 1-szej w nocy. — Bliższe szczegóły, program koncertu i t. d. w ogłoszeniach na słupach.

* **W sprawie** głośnego procesu w Pile przeciwko p. Marcinowi Biedermannowi, królewska prokuratorya rewizyę wyroku — przez niemieckie pisma tak szumnie zapowiedzianą — w największej cichości cofnęła. Wobec tego wyrok, mocą którego p. Biedermann wolny od winy i kary, stał się zatem już nieodwołalnie prawomocnym.

* **Wiec** *„Straży“ w Mieścisku,* zapowiedziany na 18 b. m., nie odbył się, ponieważ p. Niewitecki odmówił stodoły, w której wiec miał się odbyć. Podobno komisarz obwodowy p. Graeser, jako zastępca burmistrza, oraz landrat Schreiber z Wągrówca wpłynęli na p. Niewiteckiego, aby stodoły na ten cel nie udzielił.

* **Kapłan polski zasądzony** *za obrazę nauczyciela.* Sąd ławniczy w Gnieźnie skazał dnia 14-go b. m. księdza proboszcza Laskowskiego z Kołdrąbia na 30 marek grzywny i koszta za rzekomą obrazę nauczyciela Breitkreuza z Kowalewa. Obrazy dopatrzono się w żażaleniu, jakie ksiądz proboszcz wysłał na tego nauczyciela do inspektora szkolnego.

* **Na 2 tygodnie więzienia** skazany został odpowiedzialny redaktor „Lecha“ pan Tadeusz Powidzki za obrazę 3-ch Polaków, należących do „stowarzyszenia wojackiego,“ a mianowicie syna gospodarskiego Pieluchy, kowala Mikołajewskiego i Szukczewskiego z Kaźmierza w pow. szamotulskim.

* **Więzienie** tutejsze opuścił dnia 17-go b. m. redaktor „Lecha,“ p. Teska, który odsiadywał w niem karę 7-tygodniową za artykuły w sprawie strejku szkolnego.

* **Księża skazańcy.** Ksiądz Stanisław Okoniewski, redaktor „Przeglądu Kościelnego“ i proboszcz z Bnina, rozpoczął w zeszłym tygodniu odsiadywać sześciotygodniową kaźń we Wronkach.

Duchowni dekanatu lubawskiego, których swego czasu skazano z powodu odezwy, dotyczącej strejku szkolnego, na karę więzienną 1 miesiąca, rozpoczną w tych dniach ową karę odsiadywać i to: księża Kowalski, Majka, dr. Liss i Pełka w Gdańsku, a księża dr. Okoniewski, Wachowski, Ruchniewicz i Batke w Elblągu.

* **Ksiądz radzca Łabendziński** powrócił już do Tuczna po przebyciu miesiąca w Swinoujściu za sprawy szkolne. Ks. Ł. znalazł na biurku dwa powinszowania, jedno od landrata, drugie od prokuratora. Pierwszy mu doniósł, że składa go z urzędu członka

dozoru szkolnego, ponieważ ... się niegodnym tego zaszczytu, zaufanie w nim położone zawiódł i nie starałby się nadal działać w kierunku pomyślnego rozwoju szkoły. Prokurator zaś przysłał mu mandat karny, skazujący go na kilka marek kary za urządzenie generalnej próby przed pewną zabawą.

* **Proces o strejk szkolny.** Izba karna sądu ziemiańskiego w Gnieźnie skazała dnia 17-go b. m. za przestępstwo § 110 kodeksu karnego p. Witolda Zakrzewskiego, właściciela Linowca pod Mogilnem na 200 mrk., p. Bolesława Pawłowskiego, urzędnika gospodarczego z Mlecza, na 100 mrk. i kowala dominialnego Antoniego Majchrowicza z Linówca na 50 mrk. kary. Oskarżonych bronił p. mecenas Woliński z Poznania.

* **Strejk szkólny** ustał już także w Poznaniu. W obwodzie rejencyjnym poznańskim jeszcze tylko tu i owdzie strejk istnieje; razem strejkuje obecnie podobno około 250 dzieci.

* **Premiowanie dzieci** będzie jednym z punktów atrakcyjnych *zabawy latowej Towarzystwa dziennikarzy, która odbędzie się w niedzielę dnia 25-go b. m. w ogrodzie p. Swiderskiego na Wzgórzu św. Łazarza w Poznaniu.* Publiczność zarzucała często krotnie Towarzystwom naszym, że urządzając zabawy, za mało pamiętają o milusińskich. Towarzystwo dziennikarzy uwzględniając odnośne życzenia, urządza premiowanie trzech chłopców i trzech dziewczątek do lat pięciu. Dzieci, stające do konkursu, opatrzone będą numerami. Publiczność głosuje za pomocą kuponów, znajdujących się na biletach wstępu. Wszystkie kupony kładzie się do osobnej puszki zamkniętej, a głosy liczy osobna komisya. Dzieci premiowane otrzymają odpowiednie prezenty. Oprócz tego obfituje program w różne inne niespodzianki, które podadzą afisze. Wstęp do ogrodu 50 fen. Dochód przeznaczony na zasilenie funduszu emerytalnego Towarzystwa.

* **Dochodzenia śledcze** *w sprawie nieszczęścia kolejowego pod Jankowem* nie wykazały, jak donoszą gazety niemieckie, nic, coby mogło spowodować wytoczenie procesu któremukolwiek urzędnikowi kolejowemu. Odnośny urzędnik techniczny (Bahnmeister) był właśnie na urlopie, a jego zastępca nie był podobno obowiązanym do stałego dozorowania prac około naprawy toru w miejscu katastrofy. Kto więc winien?

* **Kopalniom soli w Inowrocławiu** grozi poważne niebezpieczeństwo. Z powodu powodzi w tamtejszych kopalniach soli, wystósował zarząd kopalni do swych akcyonaryuszów uwiadomienie, w którem między innemi tak pisze: „Ubolewamy, że zmuszeni jesteśmy donieść, iż do sąsiedniej kopalni fiskalnej dostała się woda, która nasze stolnie zalała. Wydobywanie soli zaprzestać musieliśmy z powodu tego dnia 14-go czerwca, wydobywanie zaś gipsu niemożliwem będzie jakie sześć miesięcy. Woda napływa w ilości 6500 do 7000 kub. metrów na dobę. Nie wierzymy, by wodę udało się wstrzymać, i mniemamy, że nasze stolnie będą zupełnie zalane.“

Kopalnia rozpuściła przed tygodniem resztę robotników, bardzo wielu wyjechało do Westfalii. Także wypowiedziano już miejsca wielu urzędnikom. Kopalnia fiskalna zamierza sprowadzić dwie nowe pompy, z których każda wypompuje metr kubiczny wody na minutę. Woda odchodzić będzie rurami podziemnemi do kanalizacyi, pod warunkiem, że fiskus poniesie ewentualne straty. Wpuszczania wody do Noteci zaniechano.

* **Parafianie przeciwko księdzu.** „Oppelner Nachr.“ donoszą, że w Komprachcicach pod Opolem oparli się parafianie gwałtem wprowadzeniu w urząd ks. proboszcza Stanosska nowo desygnowanego przez ks. kardynała Koppa na probostwo w Komprachcicach. Ludność zabiła gwoździami bramy probostwa, tak, że ks. Stanossek musiał uciekać do Opola. Przyczyną oporu była podobno okoliczność, że ks. Stanossek uchodził u parafian za narodowego Polaka, podczas gdy w rzeczy samej w wyborach w okręgu strzelecko-kozielskim głosował na ks. Glowatzkiego, centrowca.

„Gaz. Opolska“ podając powyższą wiadomość za „Oppeln. Nachr.“ dodaje od siebie, że przyczyną zatargu parafian z ks. St. nie była polityka. Nowy proboszcz miał się bardzo drastycznie odezwać do swoich owieczek i skutkiem tego powstał zatarg.

* **Swój do swego.** *Z Berlina* donosi nam grono czytelników, że tygodnik tamtejszy, wydawany przez p. J. Załachowskiego pod tytułem „Niedziela“ umieszcza od pewnego czasu ogłoszenia niejakiegoś *S. Hoffmanna*, rozpoczynające się od słów tłustym drukiem wybitych: odezwa do rodaków! Piszący przekonali się, że owym „rodakiem“, polującym na grosz krwawy ludu polskiego jest — żyd.

Nie dziwimy się oburzeniu Czytelników naszych, że „Niedziela“ ogłaszając żyda pozwala mu się podszywać pod miano rodaka. To nawet w Berlinie nie uchodzi. I w ogłoszeniach jest granica, której przekroczyć — nie wolno. Źle coprawda jest, że pisma polskie w ogóle przyjmują obce ogłoszenia, ale stokroć gorzej, jeżeli tym obcym pozwalają wyzyskiwać na swoją korzyść hasło popularne swój do swego, jeżeli pozwalają żydowi podszywać się pod miano — rodaka. To jest po prostu — wstrętne, i mamy nadzieję, że lud nasz bałamucić się takiemi ogłoszeniami nie pozwoli.

* **Zjazd** *Tow. Przemysłowych w Chełmży* odbył się w niedzielę ubiegłą przy dość licznym udziale delegatów i gości. Zagaił go prezes miejscowego Towarzystwa p. Ziółkowski. Zjazdowi przewodniczył poseł Schroeder. Przemawiali pp. Gączerzewicz o położeniu i obronie robotników, mecenas dr. Łaszewski z Grudziądza o dobrowolnem ubezpieczaniu rzemieślników, redaktor Stefan Hofman z Grudziądza o tworzeniu spółek familijnych rzemieślniczych celem popierania rzemiosła polskiego, Kaźmierz Krajna z Poznania o organizacyi towarzystw przemysłowych. Zastępca przewodniczącego p. dr. Karasiewicz z Tucholi podziękował obywatelstwu chełmżyńskiemu za gościnność i zaprosił obecnych na przyszłoroczny zjazd do Tucholi.

* **Ze Śremu** odebraliśmy odezwę, w której komitet składający się z pp. E. Neymanna, X. Szulza, X. Maleckiego, Cz. Dutkiewicza, W. Markiewicza, R. Kozika, M. Ciesiołki i I. Lipińskiego zaprasza do udziału w *wystawie prac czeladzi i terminatorów*, którą urządza tow. „Czeladzi katolickiej i Terminatorów w Śremie“. Otwarcie wystawy nastąpi w niedzielę, dnia 8 września o godz. 12 na sali hotelu „Victoria“, zamknięcie i wydzielenie premii we wtorek dnia 10 września. Chcący brać udział we wystawie niech się zgłoszą pod adresem: WPan Dutkiewicz, Śrem — Schrimm — Bank Ludowy.

Z tej strony zachęcamy do jak najliczniejszego udziału w zapowiedzianej wystawie oraz do zwiedzenia tejże.

---

* **Zwracamy** Szanownym Czytelnikom naszym, mianowicie *włościanom*, baczną uwagę na zamieszczone między inseratami ogłoszenie: *„Baczność włościanie,“* oraz na ogłoszenie: *„Gospodarstwo 77 morgowe.“* Nadarza się sposobność korzystnego nabycia dwóch gospodarstw pod dogodnemi warunkami.

* **Chleb dla swoich!** Ogłoszenie XXV. z dnia 19-go sierpnia 1907. Następujący rodacy, posiadający zakładowy kapitał, znajdą bez współzawodnictwa swoich, dobre utrzymanie: 1) lekarz; 2) weterynarz; 3) drogerzysta; 4) kupiec zbożowy; 5) kupiec krótkich towarów; 6) kupiec żelaza (zaliczki potrzeba 30,000 mrk., obrót roczny 200,000 mrk.); 7) kupiec towarów łokciowych; 8) kupiec powroźnik, (zapewniony roczny odbiór 1000 mrk. do 2000 mrk.); 9) powroźnik; 10) piekarz; 11) krawcowa damska; 12) garcarz; 13) fryzyer; 14) rymarz-siodlarz; 15) bednarz; 16) handlarz bydła; 17) kowale; 18) szewc; 19) koszykarz; 20) akuszerka. Bliższych informacyi udzieli biuro „Straży.“ Adres: Dr. Tadeusz Jaworski, Poznań—Posen. Prosimy o znaczek na odpowiedź.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. dziekan Emil Schneider*, proboszcz lwówecki, zakończył żywot doczesny u wód leczniczych w Kissingen po operacyi prawie nagle. Urodził się w Poznaniu w r. 1845. Najprzód był w Pniewach, potem w Ostrowie, a od 1899 proboszczem we Lwówku, potem dziekanem po śmierci ks. dziekana Jaskulskiego. Wielce był szanowanym dla swego zacnego charakteru. Niechaj spoczywa w spokoju wiecznym!

† S. p. *Maciej hr. Mielżyński*, dnia 16-go b. m. w Wielkiej Łęce. R. i. p.

† S. p. *Maryan Katerla,* dnia 14-go b. m. w Gnieznie w 23 roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Michalina z Tajchertów Rekśińska,* dnia 12-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 63 lata. R. i. p.

† Ś. p. *Tomasz Zakrzewski,* dnia 16-go b. m. w Gnieźnie w 61 roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Cecylia z Warasieckich Wiegant,* dnia 15-go b. m. w Warszawie, przeżywszy lat 69. R. i. p.

† Ś. p. *Karol Wentzel,* długoletni administrator dóbr winnogórskich, dnia 18-go b. m. w Winnogórze w 50-ym roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Marya Kotecka,* dnia 20-go b. m. w 51 roku życia Poznaniu. R. i. p.

Nasza ofiarność.

* **Na dotkniętych klęską gradową** nadesłał p. J. Wasik z Röhlinghausen 5 mrk. Sumę tę zebrał p. W. od trzech osób, które „zgrzeszyły przeciw oszczędności.“

Od Redakcyi.

— *Do Sremu:* — Osobną kartą zwróciliśmy p. E. Neymannowi, prezesowi Tow. przemysłowców w Sremie uwagę na to, że nadesłane nam wezwanie do brania udziału w wystawie Czeladzi i Terminatorów odebraliśmy zbyt późno, ażebyśmy wzmiankę o niem byli mogli zrobić jeszcze w poprzednim numerze. Zresztą uważamy, że odezwa sama jest zbyt spóźniona i skutku po niej komitetowi obiecywać nie możemy.

Prosimy nie lekceważyć naszej uwagi poprzedzającej rubrykę wieców, zebrań i t. d. My za spóźnione doniesienia w każdym razie zrzucać będziemy winę — na wysełającego.

Zarządowi Towarzystwa polsko-katolickiego pod wezwaniem św. Józefa w Kilonii. — Notatkę odebraliśmy za późno. (Patrz uwagę od redakcyi pod działem wieców, zebrań i t. d.

Panu Wacławowi K. w Rawiczu. — Powieści: „Śpiewaczka ludowa“ i „Męczennica w koronie“ już od lat kilku wyczerpane zupełnie.

— *Pani J. B. w N.* — W każdej większej księgarni polskiej n. p. w Poznaniu w księgarni A. Cybulskiego, przy ulicy św. Marcina.

Złote listki.

Nie dopędzisz wczasu cugiem,
Nie wyorzesz jutra pługiem.
Ks. Józef Baka.

* * *

Nie łez nam trzeba, lecz siły.
Marya Konopnicka.

* * *

Ten jest mędrcem, kto wie co mówić i kiedy czego nie mówić.

* *

Człowiek, który nikomu nie szkodzi, nie wiele też dobrego czyni.

CONAN DOYLE.

Zbrodnia Brygadyera.

Tłumaczyła Br. N.

We wszystkich wielkich zastępach wojska francuskiego jeden tylko był oficer, dla którego Anglicy z armii Wellingtona zachowali głęboką, trwałą i niezmienną nienawiść. Byli między Francuzami łupieżcy i ludzie, którzy dopuszczali się gwałtów, byli szulerzy, pojedynkowicze i wytrawne łotry. To wszystko mogło być przebaczone, bo im podobni znajdowali się też w szeregach angielskich. Ale jeden z oficerów pułku Masseny popełnił przestępstwo niewypowiedziane, niesłychane, ohydne; przestępstwo, o którem można było wspominać tylko, klnąc, późnym wieczorem, gdy druga butelka rozwiązała języki mężczyzn.

Wieść o przestępstwie doniesiona została do Anglii, a szlachta wiejska, mało wtajemniczona w szczegóły wojny, oblewała się purpurą z gniewu, skoro wiadomość doszła do jej uszu, a ziemianie podnosili ku niebu piegowate pięści i klęli. A jednakże sprawcą tego okropnego czynu był nasz przyjaciel, brygadyer Stefan Gerard, z pułku huzarów, z Conflans, świetny jeździec, dobroduszny, pełen fantazyi, ulubieniec pań, faworyt sześciu brygad lekkiej kawaleryi.

Najosobliwszem w tem wszystkiem jest to, że ten wyborny kawaler popełnił ów wstrętny czyn i stał się najniepopularniejszym człowiekiem na półwyspie, nie wiedząc nawet, że dopuścił się przestępstwa, na którego określenie nie znajdzie się chyba nazwy w naszej mowie.

Zmarł w wieku sędziwym i nigdy, w tej niezachwianej pewności siebie, która zdobiła czy też psuła jego charakter, nie dowiedział się, ile tysięcy Anglików powiesiłoby go z radością własnemi rękoma. Przeciwnie, przygodę owę zaliczał do tych czynów, za które należała mu się wdzięczność świata, i nieraz pysznił się i uśmiechał z zadowoleniem, gdy opowiadał ją chciwym słuchaczom, którzy otaczali go w skromnej kawiarni, gdzie, między obiadem a partyą domina, prawił wśród łez i śmiechu, o tej niepojętej przeszłości Napoleońskiej, kiedy Francya, niby anioł gniewu, powstała, wspaniała i straszna, przed struchlałym światem.

Ale posłuchajmy jego samego, jak opowiada przygodę na swój sposób i ze swego punktu widzenia.

— — — — — — — — — — — —

Trzeba wam wiedzieć, moi przyjaciele — mówił — że było to ku końcowi roku tysiąc osiemset dziesiątego, gdy ja i Massena i inni zniewoliliśmy Wellingtona do cofania się, tak, że mieliśmy nadzieję, iż wpędzimy jego i jego armię do Tagu. Ale gdy byliśmy jeszcze o dwadzieścia pięć mil od Lizbony, przekonaliśmy się, że jesteśmy zdradzeni, bo ten Anglik wybudował przecież olbrzymią linię szańców i fortów w miejscowości nazwanej Torres Vedras, tak, że nawet my nie mogliśmy się przedostać.

Ciągnęły się wzdłuż całego półwyspu, a nasza armia tak daleko była od obozu, że nie mieliśmy odwagi zaryzykować,

odwrotu; pod Busaco zaś przekonaliśmy się, że walka z tymi ludźmi nie jest dziecinną igraszką. Cóż tedy mogliśmy uczynić innego, jak zająć stanowisko przed temi szańcami i blokować je? Pozostaliśmy tam przez sześć miesięcy, śród takiego niepokoju, iż Massena mówił później, że nie pozostał mu ani jeden włos, który by nie osiwiał.

Co do mnie nie bardzo się tam martwiłem o nasze położenie — doglądałem tylko koni, które wielce już potrzebowały wypoczynku i zielonej paszy. Zresztą zapijaliśmy wino miejscowe i spędzaliśmy czas, jakeśmy mogli najlepiej. Była tam w Santaremie pewna dama — ale usta moje są zamknięte. Rycerskiemu mężczyźnie nie przystoi nic mówić, jakkolwiek może dać do zrozumienia, że mógłby powiedzieć bardzo wiele.

Pewnego dnia Massena przysłał po mnie; zastałem go w namiocie przed wielkim planem, rozpiętym na stole. Spojrzał na mnie w milczeniu tem jednem przenikliwem okiem swojem, a ów wzrok powiedział mi, że sprawa jest poważna. Był zdenerwowany, niespokojny, ale moje zachowanie się dodało mu widocznie otuchy. Zetknięcie się z ludźmi odważnymi ma zawsze wpływ zbawienny.

— Pułkowniku Stefanie Gerardzie — rzekł — słyszałem zawsze, że jesteś bardzo dzielnym i przedsiębiorczym oficerem.

Nie moja to była rola potwierdzić pogłoskę, wszelako zaprzeczyć jej byłoby szaleństwem; brzęknąłem tedy ostrogami i salutowałem.

— Jesteś także znakomitym jeźdźcem.

Przyznałem się do tego.

— I najlepszym żołnierzem w sześciu brygadach lekkiej kawaleryi.

Massena słynął istotnie z dokładności swoich informacyi..

— A teraz — mówił dalej — jeśli spojrzysz na ten plan, z łatwością zrozumiesz, pułkowniku, czego od ciebie zażądam. Oto szańce Torres Vedras. Jak widzisz, pokrywają rozległą przestrzeń, a rozumiesz sam, że Anglicy mogą zajmować tę tylko oto i tę pozycyę.

— Skoro raz — mówił dalej Massena — przedostaniesz się przez szańce, będziesz miał dwadzieścia pięć mil wolnego obszaru pomiędzy nimi a Lizboną. Rzeczą niezmiernej wagi dla mnie jest dowiedzieć się, w jaki sposób wojska Wellingtona są rozlokowane na tej przestrzeni i pragnę, abyś się tam udał i upewnił się o tem.

Na te słowa zimny dreszcz przebiegł po mnie.

— Panie — rzekłem — niepodobieństwem jest, żeby pułkownik lekkich huzarów przystał na odegranie roli szpiega.

Roześmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

— Nie byłbyś pan huzarem, gdybyś nie był takim gorączką — odparł. — Jeśli posłuchasz, zrozumiesz, że nie żądam od ciebie, abyś grał rolę szpiega. Jak ci się podoba ten koń?

Zaprowadził mnie przed wejście do namiotu, a tam strzelec oprowadzał przecudne zwierzę. Był to koń siwy, jabłkowity, niezbyt duży — miał może trochę więcej, niż pięć stóp — z krótkim łbem i wygiętą szyją, co wykazuje krew arabską. Łopatki i uda miał takie muskularne, a nogi takie cienkie, że przyglądałem mu się z dreszczem rozkoszy. Nie mogę bez wzruszenia patrzeć na rasowego konia i piękną kobietę, nawet teraz, kiedy siedemdziesiąt zim ochłodziło krew moją. Możecie sobie wyobrazić, co to było w 1810.

— To jest — rzekł Massena — „Woltyżer“, najszybszy koń w naszej armii. Otóż żądam, abyś pan wyruszył dziś w nocy, objechał szańce z boku, przedostał się przez tylne straże nieprzyjaciela, powrócił wzdłuż boku przeciwległego i przywiózł mi wiadomość, jak wojska są rozlokowane. Będziesz w mundurze, co, jeśli zostaniesz schwytany, uchroni cię od śmierci szpiega. Być może, iż przedostaniesz się przez szańce bez przeszkody, straże są bowiem bardzo rozproszone. A skoro się raz przedostaniesz, we dnie możesz prześcignąć kogokolwiek spotkasz, a jeśli będziesz się trzymał zdala od dróg, możesz się wydostać zupełnie niepostrzeżenie. Jeśli się pan nie zgłosisz do jutra wieczorem, zrozumiem, że zostałeś schwytany i zaproponuję wzamian pułkownika Petrie.

Ach, jakże serce moje wezbrało dumą i radością, gdy wskoczyłem w siodło i galopowałem tam i napowrót na przepysznym koniu, chcąc pokazać marszałkowi, że mam zwierzę najzupełniej w swojej mocy! „Woltyżer“ był wspaniały, byliśmy wspaniali obaj, gdyż Massena klaskał w dłonie i krzyknął z zachwytu.

Nie ja powiedziałem, lecz on rzekł, iż wytworne zwierzę zasługuje na wytwornego jeźdźca. Gdy wreszcie po raz trzeci, z rozwianym pióropuszem, z powiewającym dolmanem minąłem go, jak strzała, wyczytałem z jego starego, surowego oblicza, że nie miał już żadnych wątpliwości co do tego, iż wybrał właściwego człowieka do swoich celów.

Dobyłem szabli, poniosłem rękojeść do ust, salutując, i pogalopowałem do swej kwatery. Wiadomość, że zostałem wybrany do spełniania misyi, już się była rozeszła i moje poczciwe chłopcy wybiegli ze swych namiotów i wznosili okrzyki na moją cześć.

Ach! łzy nabiegają mi do oczu, gdy pomyślę, jacy oni byli dumni ze swego pułkownika. Ja byłem także z nich dumny. Zasługiwali na dziarskiego dowódcę.

Noc zapowiadała się burzliwie, co przypadało mi wielce do gustu. Pragnąłem wyjazd mój zachować w największej tajemnicy, bo oczywistem było, iż, gdyby Anglicy usłyszeli, że zostałem odłączony od armii, wywnioskowaliby stąd, naturalnie, że spodziewane są ważne wypadki.

Dlatego też mój koń został wyprowadzony po za linię pikiety, niby dla pojenia, a ja poszedłem później za nim i tam go dosiadłem. Miałem ze sobą mapę, kompas i papier z instrukcyami od marszałka; z tem wszystkiem na piersi pod mundurem i z szablą u boku ruszyłem w drogę.

Drobny deszczyk rozpadał się na dobre, księżyc skrył się za chmury, możecie sobie zatem wyobrazić, że nie było mi bardzo wesoło. Ale serce moje biło radośnie na myśl o zaszczycie, jaki mnie spotkał i o sławie, która mnie czekała. Ten czyn rycerski miał powiększyć świetny szereg innych, których przeznaczeniem było zmienić moją szablę na marszałkowską buławę.

Ach! jakież marzenia snuliśmy, szaleńcy młodzi i upojeni powodzeniem! Gdybym mógł przewidzieć owej nocy, gdy jechałem, wybrany z pomiędzy sześćdziesięciu tysięcy, że spędzę swoje życie na sadzeniu kapusty, pobierając sto franków pensyi miesięcznej! O, ty młodości moja, wy, moje nadzieje, moi towarzysze! Ale koło przeznaczenia toczy się bez przerwy. Wybaczcie mi, przyjaciele, albowiem człowiek stary miewa chwile słabości.

Droga moja prowadziła wzdłuż górzystego obszaru Torres Vedras, potem przez strumyk, mimo folwarku, który został spalony i był dziś już tylko znakiem granicznym: potem przez las młodych dębów korkowych do klasztoru św. Antoniego, który oznaczał lewy bok pozycyi angielskiej. Tu zwróciłem się ku południowi i jechałem spokojnie do-

liniami; Massena bowiem mniemał, że tędy właśnie najłatwiej dla mnie będzie przedostać się niepostrzeżenie.

Jechałem bardzo wolno, gdyż było tak ciemno, że nie widziałem przed sobą własnej dłoni. W takich wypadkach puszczam cugle i pozwalam koniowi wybierać drogę. „Woltyżer" szedł naprzód, z całą pewnością siebie, a ja byłem bardzo rad, że siedzę na jego grzbiecie i mogę rozglądać się dokoła, unikając każdego światła.

Przez trzy godziny dążyliśmy naprzód w taki ostrożny sposób, aż wreszcie zdało mi się, że pozostawiłem wszelkie niebezpieczeństwo za sobą. Wówczas popędziłem konia, chciałem bowiem dotrzeć do tylniej straży całej armii o świcie. W tych okolicach są liczne winnice, które w zimie zamieniają się w otwarte równiny i jeździec nie wiele tu spotyka przeszkód na swojej drodze.

Massena wszakże zlekceważył przebiegłość Anglików, okazało się bowiem, że wznieśli oni nie jedną, ale trzy linie fortyfikacyjne, a trzecia była najpotężniejsza i przez tę właśnie przejeżdżałem w danej chwili. Gdy tak jechałem, upojony własnem powodzeniem, nagle zamigotało przedemną światło latarni, ujrzałem połysk lufy karabinowej i blask czerwonego munduru.

— Kto idzie! — krzyknął głos jakiś.

Jaki to był głos! Skręciłem na prawo i popędziłem, jak szalony, ale z tuzin błysków ognistych przedarł ciemności i kule, świszcząc, latały mimo moich uszu. Nie był to dla mnie odgłos nowy, moi przyjaciele, jakkolwiek nie będę gadał, jak zwaryowany rekrut i opowiadał, że odgłos ten lubiłem. Ale, ostatecznie nie zamącił mi nigdy myśli, miałem tedy świadomość, że nie pozostawało mi nic innego tylko galopować dalej i próbować szczęścia gdzieindziej.

Objechałem dokoła pikiety angielskie, poczem, ponieważ nie dawały już znaku życia, wywnioskowałem słusznie, że nakoniec przedostałem się przez ich fortyfikacye. Jechałem w kierunku południowym pięć mil, zapalając od czasu do czasu hubkę, aby spojrzeć na swój kompas kieszonkowy. Naraz, w mgnieniu oka — czuję znów ten sam ból na samo wspomnienie chwili owej — mój koń, bez jęku ni drgnienia, runął martwy przedemną!

Nie wiedziałem o tem, że jedna z kul tej piekielnej pikiety ugodziła w konia. Szlachetne zwierzę nie rzuciło się, ani osłabło w biegu, lecz pędziło, dopóki dech w niem nie zamarł. W jednej chwili byłem bezpieczny na najszybszym, najpiękniejszym koniu w armii Masseny; w drugiej — koń leżał na boku, wart tyle tylko, co jego skóra; a ja stałem przy nim, najbezsilniejszy, najniezgrabniejszy z ludzi, jakim jest pozbawiony konia huzar.

Na cóż mi się mogły już teraz przydać buty, ostrogi, szabla? Byłem daleko w obrębie szańców nieprzyjacielskich. Jakże mogłem mieć nadzieję, że powrócę? Nie wstydzę się powiedzieć, że ja, Stefan Gerard, usiadłem na swym martwym koniu i, zrozpaczony, ukryłem twarz w dłoniach.

Pierwszy brzask jaśniał już na wschodzie. Jeszcze pół godziny, a zawita dzień. Pokonać na drodze wszelkie przeszkody i potem, w ostatniej chwili, być zdanym na łaskę wrogów, nie spełniwszy misyi, uwięzionym — czyż to nie dosyć, żeby rozedrzeć serce żołnierza?

Ale, odwagi przyjaciele! Miewamy takie chwile słabości wszyscy, nawet najmężniejsi; mój duch wszakże jest jak pręt stalowy, im silniej go zgiąć, tem wyżej odskakuje. Jeden poryw rozpaczy, a potem głowa chłodna i serce ogniste. Nie wszystko było jeszcze stracone. Ja, który wybrnąłem z tylu niebezpieczeństw, wybrnę również i z tego. Wstałem z konia i zacząłem rozważać, co począć.

Przedewszystkiem wracać nie mogłem, to była rzecz pewna. Zanim zdołałbym przedostać się przez szańce, byłby już jasny dzień. Muszę zatem ukryć się przez dzień a potem poświęcić na ucieczkę noc następną. Zdjąłem ze swego biednego Woltyżera siodło, olstra i uzdę i ukryłem to wszystko w krzakach tak, że nikt, znalazłszy konia, nie będzie mógł wiedzieć, że to koń francuski. Potem pozostawiwszy go tam, gdzie padł, powędrowałem szukać kryjówki, w której byłbym bezpieczny przez dzień. We wszystkich kierunkach mogłem dostrzedz ogniska obozowe na zboczach pagórków i już ludzie zaczynali się ruszać dokoła nich. Musiałem zatem ukryć się szybko, inaczej groziła mi zguba.

Ale gdzie się ukryć? Znajdowałem się w winnicy; tyki sterczały dokoła, ale bez zarośli; tu nie było żadnej osłony. Nadto trzeba było zdobyć trochę jadła i wody, zanimby noc nadeszła. Spieszyłem co tchu wśród rozpraszających się ciemności, ufając, że fortuna będzie mi sprzyjała. I nie doznałem zawodu. Fortuna jest kobietą, moi przyjaciele, i czuwa zawsze nad rycerskim huzarem.

Otóż, gdy tak dążyłem przez winnicę, nagle ukazało się coś przedemną — dom czworokątny i przyległy długi budynek z jednej strony. Spotykały się tam trzy drogi i łatwo było rozpoznać, że to posada, czyili winiarnia. W oknach nie było światła, wszędzie panowała ciemność i cisza, ale, oczywiście, byłem pewny, że taka wygodna kwatera była zajęta i to prawdopodobnie przez jakąś ważną figurę.

Doświadczenie nauczyło mnie wszędzie, iż im bliżej niebezpieczeństwa, tem miejsce jest pewniejsze, nie miałem tedy najmniejszego zamiaru porzucania tego schronienia. Budynek niski był widocznie stajnią i tu się wsunąłem, gdyż drzwi zastałem uchylone. Pełno tam było nagromadzonego bydła i owiec, ukrytych niewątpliwie przed szponami maruderów. Drabina prowadziła na strych, wszedłem tedy po niej i ukryłem się w leżącem tam sianie. Ten strych miał otwarte okienko, przez które mogłem widzieć front gospody, a także i drogę. Ułożyłem się tedy przed oknem i patrzyłem, czekając, co też dalej będzie.

Okazało się niebawem, że nie omyliłem się, przypuszczając, iż jest to kwatera jakiejś wybitnej osobistości. Skoro tylko dzień zaświtał, nadjechał dragon angielski z depeszą, poczem rozpoczął się ruch i zgiełk — oficerowie przyjeżdżali i odjeżdżali nieustannie. A na ustach mieli ciągle jedno i to samo nazwisko: „Sir Stapleton — sir Stapleton".

Ciężko mi było strasznie leżeć z suchym wąsem i patrzeć na wielkie butelki, które oberżysta znosił oficerom angielskim. Ale bawił mnie widok ich rumianych, wygolonych, wesołych twarzy i myślałem sobie, coby też rzekli, gdyby wiedzieli, że taka sławna osobistość spoczywa tak blisko nich. A potem, gdy tak leżałem i patrzyłem, oczom moim przedstawił się widok, który mnie przejął zdumieniem.

Zuchwalstwo tych Anglików przechodziło, rzeczywiście, wszelkie pojęcie! Jak wam się zdaje, co milord Wellington uczynił, dowiedziawszy się, że Massena go osaczył i że armia nie może ruszyć z miejsca? Ręczę, że nie zgadniecie. Powiecie niezawodnie, że wpadł w wściekłość, że ogarnęła go rozpacz, że zwołał swoich żołnierzy i mówił im o chwale i ojczyźnie, zanim ich poprowadzi na ostatnią bitwę.

Nie, milord wcale nic z tego wszystkiego nieuczynił, lecz wysłał jeden z okrętów floty do Anglii po foksy i u-

rządził sobie z oficerami polowanie na lisy. To, co wam mówię, jest szczerą prawdą. Po za szańcami Torres Vedras ci waryaci Anglicy polowali na lisy przez trzy dni w tygodniu. Słyszeliśmy o tem w obozie, a teraz przekonałem się naocznie, że to prawda.

Wzdłuż drogi bowiem, którą opisałem, szły właśnie psy, jakie trzydzieści czy czterdzieści, białe i bronzowe, a każdy miał ogon jednakowo podcięty i sterczący, niby bagnety starej gwardyi. Dalibóg ładny to był widok! A za psami i śród nich jechali konno trzej mężczyźni w czapkach i czerwonych frakach; domyślałem się, że to dojeżdżacze.

Za nimi dążyli jeźdźcy w różnych mundurach po dwóch i trzech, rozmawiająo i śmiejąc się. Jechali truchtem i pomyślałem sobie, że powolny to musi być lis, którego zamierzają schwytać. Wszelako to była ich rzecz, nie moja, a niebawem minęli moje okno i straciłem ich z oczu. A ja dalej czekałem i śledziłem bacznie, gotów do czynu przy lada nadarzonej sposobności.

Teraz nadjeżdżał klusem oficer w mundurze niebieskim, podobnym do naszej lotnej artyleryi — był to mężczyzna starszy, tęgi z siwemi bokobrodami. Zatrzymał się i zaczął rozmawiać z oficerem dragonów, który czekał przed oberżą i wówczas to okazało się, jaką korzyść przyniosła mi nauka języka angielskiego. Mogłem słyszeć i rozumieć wszystko, co mówiono.

— Gdzie spotkanie? — spytał oficer, a tamten odparł, że w pobliżu Altary.

— Spóźniłeś się, sir Jerzy — rzekł oficer.

— Tak, miałem sąd wojenny. Czy sir Stapleton już pojechał?

W tejże chwili otworzyło się okno i wyjrzał przystojny młody mężczyzna w wspaniałym mundurze.

— Dzień dobry, Murray! — zawołał. — Te przeklęte papierzyska trzymają mnie, ale jadę za tobą.

— Doskonale, Cottonie. Spóźniłem się, już jadę tedy dalej.

— Powiedz pan mojemu groom'owi, żeby mi przyprowadził konia — rzekł młody generał z okna do oficera na dole, gdy Murray jechał dalej gościńcem.

Oficer podążył do jakiejś dalszej stajni, a w kilka minut później ukazał się zwinny groom angielski z kokardą na kapeluszu, prowadząo za uzdę konia — ach moi przyjaciele, nie możecie mieć wyobrażenia, do jakiej doskonałości może dojść koń, jeżeli nie widzieliście hutnera angielskiego pierwszej klasy.

Był poprostu wspaniały; duży, rosły, silny, a przytem zgrabny i zwinny, jak sarna. Maści czarnej, jak węgiel, a szyja, a łopatki, a grzbiet, a pęciny — jakże zdołam opisać go wam całego? Słońce odbijało się w nim, jak w politurowanym hebanie, jednej chwili nie ustał w miejscu, tańczył, podnosząc kopyta z niesłychaną lekkością i wdziękiem, potrząsał grzywą i rżał z niecierpliwości. Jak żyję nie widziałem takiej mięszaniny siły, piękności i wdzięku. Dziwiłem się często w jaki sposób huzarzy angielscy mogli prześcignąć strzelców gwardyi pod Ostorga, ale przestałem się dziwić, gdym zobaczył konie angielskie.

Naraz odezwał się we drzwiach oberży dzwonek, nawołujący do siodłania koni a groom przywiązał konia i wszedł do domu. W mgnieniu oka objąłem sposobność, jaką mi tu los nastręczył. Gdybym siedział w tem siodle, lepiejby mi się działo, niż gdym wyjeżdżał z obozu. Nawet Woltyżer nie mógł iść w porównanie z tem przepysznem zwierzęciem. Od myśli do czynu droga u mnie szybka.

W jednej chwili zbiegłem z drabiny i stanąłem we drzwiach stajni. W następnej byłem na dworze i schwytałem cugle w rękę. Wskoczyłem na siodło. Ktoś, pan albo jego sługa, krzyknął przeraźliwie za mną. Co mnie obchodziły te krzyki! Spiąłem konia ostrogami, a on skoczył naprzód, takim rzutem, że tylko taki jeździec, jak ja, mógł utrzymać się w strzemionach. Zdałem zupełnie cugle i puściłem go swobodnie, wszystko mi było jedno na razie, dokąd leciał, byleby tylko jak najdalej od oberży.

Pędziłem, jak strzała, przez winnice i w ciągu kilku minut mile całe dzieliły mnie od tych, którzy mnie ścigali. Nie wiedzieli już w tej pustej okolicy, w jakim kierunku się zwróciłem. A ja wiedziałem, że jestem bezpieczny, wjechałem tedy na szczyt małego wzgórza, wydobyłem z kieszeni ołówek i notatnik i zacząłem kreślić plany tych obozów, które mogłem widzieć, i szkicować zarysy okolicy.

Nie łatwo było rysować na grzbiecie tego wspaniałego zwierzęcia, na którem siedziałem — od czasu do czasu strzygło uszami, rzucało się i drżało z niecierpliwości. Zrazu nie mogłem zrozumieć coby ten wybryk miał znaczyć, ale niebawem zauważyłem, że poruszał się tak tylko, gdy gdzieś, z głębi lasu dębowego za nami, dobiegał szczególny odgłos — „hu ,ha, hu ha.'' A po tem nagle ten krzyk osobliwy zamienił się w najstraszliwszy wrzask, przyczem grały rogi.

Koń w jednej chwili oszalał. Ślepie sypały iskry. Grzywa jeżyła się. Podskakiwał w górę, gryzł wędzidło, szarpał się i rzucał. Ołówek mój poleciał w jedną stronę, notatnik w drugą. A potem, gdym spojrzał w dolinę, oczom moim przedstawił się nadzwyczajny widok.

Tam odbywało się polowanie. Lisa widzieć nie mogłem, ale psy goniły z wrzaskiem — nosy miały przy ziemi, ogony w górę, a leciały takim zwartym szeregiem że wyglądały niby jeden ruchomy kobierzec żółty z białym. Za niemi pędzili jeźdźcy — dalibóg, co za widok! Wszystkie typy wielkiej armii: niektórzy w strojach myśliwskich, większość jednak w mundurach; dragony błękitne, czerwone, huzarzy w czerwonych spodniach, zieloni strzelcy, artylerzyści, błyszczący złotem huzarzy, a najwięcej czerwonych, czerwonych, czerwonych, bo oficerowie piechoty jadą również dobrze jak konnica. Cały tłum — jechali nierówno, ale wszyscy pędzili z całych sił, zarówno podwładny jak i generał, szturchając się, popychając, spinając konie ostrogami, popędzając, pozbawieni wszelkiej innej myśli, prócz tej jednej, aby coprędzej widzieć krew tego głupiego lisa! Doprawdy, dziwaczny to naród, ci Anglicy.

Ale niewiele miałem czasu na przyglądanie się polowaniu lub zdumiewaniu się nad tymi wyspiarzami, albowiem z tych wszystkich oszalałych stworzeń najszaleńszem był właśnie koń, na którym siedziałem. Rozumiecie, że sam był hunterem, i że wrzask tych psów był dla niego tem, czem pobudka trąbki kawaleryi byłaby dla mnie tam, na ulicy. Przejmował go dreszczem. W szał go wpędzał. Coraz stawał dęba, aż wreszcie, schwyciwszy uzdę w zęby, sunął w dół ze wzgórza i poleciał wcwał za psami.

Kląłem, szarpałem, rwałem, ale byłem bezsilny. Ten generał angielski prowadził swego konia tylko na trężli, a zwierzę miało pysk żelazny. Wszelkie powstrzymywanie go było daremne. Z równym skutkiem możnaby próbować powstrzymać grenadyera od butelki wina. Zrezygnowałem zrozpaczony i, zasiadłszy mocno w siodle, przygotowałem się na rzeczy najgorsze.

Co to było za zwierzę! Nigdy w życiu nie czułem pod sobą takiego konia. Wielkiemi lekkiemi chodami sunął naprzód coraz prędzej i prędzej, wyciągnięty, jak chart — wiatr smagał mnie po twarzy i świszczał mimo uszu. Mia-

łem na sobie zwyczajny codzienny mundur, skromny i ciemny — są jednak postacie, które każdemu mundurowi nadają cechę wytworności — i byłem o tyle ostrożny, że zdjąłem pióropusz ze swojej czapki.

Dzięki temu, nie było powodu, żeby w tej mieszaninie strojów, śród uczestników polowania, mój strój miał zwrócić uwagę, albo, żeby mężczyźni, pochłonięci ściganiem zwierzęcia, zważali na mnie. Myśl, że oficer francuski mógłby jechać wraz z nimi, była zbyt niedorzeczną, żeby im mogla wpaść do głowy. Roześmiałem się w głos, bo, rzeczywiście, śród całego tego niebezpieczeństwa sytuacya nie była pozbawiona komizmu.

Powiedziałem, że myśliwi jechali nierówno, tak więc po kilku milach drogi, zamiast stanowić zwartą masę ludzi, jak pułk atakujący, byli rozprószeni na obszernej przestrzeni — lepsi jeźdzcy niemal tuż za psami, reszta dalej w tyle.

Otóż, nie byłem gorszym jeźdźcem od nich, a konia miałem najlepszego ze wszystkich; domyślicie się zatem, że niedługo trwało a znalazłem się na przedzie.

Skoro zaś ujrzałem pędzące psy a za niemi czerwonego dojeżdżacza i tylko siedmiu czy ośmiu jeźdźców, dzielących mnie od nich, stała się rzecz niesłychana, bo i ja także oszalałem — ja, Stefan Gerard! W jednej chwili ogarnęła mnie znienacka gorączka sportu, żądza odznaczenia się, nienawiść do lisa. Przeklęte zwierzę, miałoby zadrwić z nas. Nikczemny łupieżca, nadeszła jego godzina!

Ach, moi przyjaciele, podniosłe to uczucie, to umiłowanie sportu, to pragnienie stratowania lisa kopytami swego konia. Odbywałem polowania na lisy, z Anglikami i mówię wam, że ten sport jest czemś wspaniałem — porywającem i pełnem szału.

Im dalej jechaliśmy, tem szybciej galopował mój koń i niebawem tylko już trzech jeźdźców było tak blizko psów jak ja. Wszelka myśl o trwodze i wykryciu znikła we mnie. W głowie mi szumiało, krew cwałowała w żyłach — jedna tylko rzecz na ziemi wydawała mi się coś warta: schwytanie tego piekielnego lisa. Minąłem jednego z jeźdźców — huzara jak ja. Teraz już tylko dwóch mnie wyprzedzało — jeden w czarnem ubraniu, drugi ów błękitny artylerzysta, którego widziałem w oberży. Siwe bokobrody miał rozwichrzone, od wiatru, siedział na koniu wspaniale.

Przez jaką milę, a może i więcej, trzymaliśmy się w tym samym szyku, poczem, gdy wjeżdżaliśmy na urwisty stok, dzięki swojej mniejszej wadze, wyprzedziłem ich i stanąwszy na szczycie, znalazłem się obok małego dojeżdżacza angielskiego o surowym obliczu. Przed nami były psy a o jakie sto kroków przed nimi mały brunatny kłębek — lis we własnej osobie, wyczerpany do ostatka. Widok jego rozżarzył mi krew nanowo.

— Aha, mam cię wreszcie, zbrodniarzu!

Wołałem, wydawałem okrzyki, zachęcając dojeżdżacza, kiwałem ręką, chcąc mu okazać, że był przy nim ktoś, na kim mógł polegać.

Wreszcie już tylko psy pozostały między mną a moją zdobyczą. Te psy, których obowiązkiem jest naganiać zwierzynę, stanowiły teraz raczej przeszkodę, niż pomoc dla nas, albowiem niewiadomo było, jak je wyminąć. Dojeżdżacz odczuwał tę trudność równie dobrze jak ja, jechał bowiem za niemi i nie mógł się zbliżyć do lisa. Był on wprawnym jeźdźcem, lecz brakło mu przedsiębiorczości.

Co do mnie, czułem, że byłoby to ubliżeniem dla huzarów z Conflans, gdybym nie mógł pokonać takiej, jak ta przeszkody, Stefan Gerard miałby się pozwolić powstrzymać przez sforę foksów? Głupstwo! Huknąłem i dałem ostrogę koniowi

— Trzymać się, panie! Trzymać! — krzyknął dojeżdżacz.

Niepokoił się o mnie, poczciwy staruszek, ale uśmiechem i ruchem ręki dodałem mu otuchy. Psy rozstąpiły się przedemną. Może stratowałem ze dwa albo trzy, ale cóż chcecie? Chcąc mieć omlet, trzeba stłuc jajko. Słyszałem, jak dojeżdżacz przesyłał mi grzmiącym głosem powinszowania. Jeszcze jeden wysiłek i wszystkie psy pozostały za mną. Peraz już tylko lis mnie wyprzedzał.

Ach, co to była za radosna chwila! Jakim uczuciem dumy przejęło mnie przeświadczenie, że pobiłem Anglików w ich własnym sporcie! Oto ich trzystu, żądnych życia tego zwierzęcia, a jednak ono będzie moje. Myśl moja pobiegła ku towarzyszom, ku brygadzie lekkiej kawaleryi, ku matce, ku cesarzowi, ku Francyi. Przyniosłem zaszczyt każdemu z nich i wszystkim razem. Każda chwila zbliżała do mnie lisa. Moment czynu nadszedł — obnażyłem szablę, okręciłem ją w powietrzu, a sami Anglicy wydawali okrzyki na moją cześć.

Wówczas dopiero zrozumiałem, jak trudnem jest to polowanie na lisy — można uderzyć raz po raz i nie trafić wcale. Zwierzę jest małe i szybko wywija się od ciosu. Za każdym cięciem słyszałem za sobą te same okrzyki zachęty, które dowawały mi bodźca do coraz to nowego wysiłku.

W końcu wreszcie nadeszła ostatnia chwila mego tryumfu. W półobrocie ugodziłem w lisa takiem samem zręcznem cięciem, jakiem zabiłem adjutanta cesarza rosyjskiego. Lis rozpadł się na dwie części — łeb w jedną stronę, a ogon w drugą. Odwróciłem się i okręciłem pokrwawioną szablą w powietrzu. W tej chwili byłem wzniosły — wspaniały!

Ach! jakże byłbym pragnął zaczekać i otrzymać powinszowanie tych wspaniałomyślnych wrogów. Zbliżało ich się teraz z pięćdziesięciu, a nie było między nimi ani jednego, któryby nie wymachiwał ręką i nie krzyczał. Ci Anglicy nie są doprawdy wcale taką flegmatyczną rasą. Dzielny czyn na wojnie, czy w sporcie, rozgrzeje zawsze ich serca.

Co do starego dojeżdżacza, ten znajdował się najbliżej mnie i mogłem widzieć własnemi oczyma, jaki był oszołomiony tem, co widział. Wyglądał jak człowiek sparaliżowany — usta miał otwarte, rękę z rozwartemi palcami, podniesioną w górę. Przez chwilę miałem ochotę zwrócić i uścisnąć go. Ale głos obowiązku dźwięczał mi już w uszach, a ci Anglicy, pomimo całego braterstwa, jakie istnieje między sportsmenami, wzięliby mnie niechybnie do niewoli.

Teraz już nie było dla mnie żadnej nadziei spełnienia swojej misyi, zrobiłem wszystko co mogłem zrobić. Widziałem w niezbyt wielkiem oddaleniu zarysy obozu Masseny, albowiem szczęśliwy przypadek chciał, że polowanie skierowało się w tę właśnie stronę. Odwróciłem się od zabitego lisa, salutowałem szablą i pocwałowałem dalej.

Ale ci dzielni myśliwi nie chcieli mnie puścić tak łatwo. Ja teraz stałem się lisem i na równinie rozpoczął się pościg. Dopiero w chwili, gdy ruszyłem ku obozowi, mogli się domyśleć, że jestem Francuzem i teraz cała gromada goniła za mną. Byliśmy na odległość strzału od naszych pikiet, zanim się zatrzymali — stanęli gromadkami i nie odjeżdżali, tylko słali za mną okrzyki, wymachując rękoma.

Nie, nie chcę przypuszczać, że pod wpływem wrogiego uczucia. Wolę raczej wyobrazić sobie, że zapał i podziw przepełniał im piersi i że, jedynem ich pragnieniem na razie było uścisnąć cudzoziemca, który postąpił tak po rycersku i tak dzielnie.

PRACA
Tygodnik illustrowany

Polskie Trianon.

(Powązki pod Warszawą.)

Miasteczko, a raczej osada Powązki, będąca dziś niejako przedmieściem Warszawy, mało jest znaną jej mieszkańcom, bo ci zwykli udawać się tylko na cmentarz Powązkowski, bliżej miasta położony. W osadzie jest kilkadziesiąt domów drewnianych, kilka murowanych, a zamieszkuje je zwykła ludność podmiejska, przeważnie ze sfer robotniczych.

Dawniej, przed stu kilkudziesięciu laty, było tu inaczej. Na tych polach płaskich i piaszczystych, przeciętych tu i owdzie rzeczułką lub kanałem, rozgrywała się sztuczna idylla, wytworzona wielkopańską fantazyą; tu mieścił się jedyny podobno w kraju polski Trianon, skopiowany w głośnych zarysach ze słynnego francuskiego z epoki rokokowej.



Pałacyk.



Łuk trumfalny.

W początkach panowania Stanisława Augusta, tam gdzie dziś jest osada Powązki, była wydma piaszczysta, pusta i jałowa, i nieco dalej las. Sama wioska, „mizerna“, jak ją nazywa Szymon Zug w swym opisie ogrodów warszawskich z roku 1784, leżała nad bagnem, zarosłem olszyną, gdzie zaledwie jedno wzgórze suche się znajdowało, na którem urządzono miejsce do łapania ptaków. Źródeł tutaj, jak wszędzie zresztą w okolicy Warszawy i w samem mieście, było mnóstwo. Skorzystano z nich i wystawiono młyn, usypano groblę wstrzymującą odpływ wód, które przedarły się w stronę i utworzyły grząskie błota.

Cała ta miejscowość należała niegdyś do starostwa warszawskiego i jako taka w roku 1784 oddaną została przez Augusta III Sasa ministrowi Henrykowi Brühlowi, a po nim otrzymał ją jego syn Fryderyk Aloizy,



Ruiny.

generał artyleryi. Ten konsensem z dnia 19-go czerwca 1775 roku odstąpił Powązki Adamowi księciu Czartoryskiemu, generałowi ziem podolskich. (Lustracya starostwa Warszawskiego z r. 1789 Archiw. główne). W tej więc dobie nie było to miejsce ani ładne, ani zdrowe.

Ale czegóż nie zrobi sztuka i pieniądz. Żona ks. Adama Czartoryskiego, Izabela z Flemmingów, w swych podróżach za granicą po Francyi i Anglii, rozwinęła wrodzony sobie smak i poczucie piękna, napatrzyła się na sztuczne sielanki, w których tak kochał się wiek XVIII w przededniu strasznej rewolucyi. Jeżeli wierzyć niektórym podaniom, przebywała polska dama przez dłuższy czas we francuskim *Le petit Trianon*, stworzonym przez kaprys pięknej Maryi Antoniny, i tu razem z królową, przebrana w strój pasterski, używała zabawy i pełnego zalotności życia.

Powróciwszy do kraju, postanowiła sobie i tu stworzyć taką sielankę i wybrała w tym celu

melancholijną w swym mazurskim wyglądzie okolicę Powązek. Prawdopodobnie skłoniła ją do tego bliskość stolicy, zkąd w każdej chwili przed gwarem wielkomiejskim mogła uciec i oddawać się sentymentalnej sielance. Nie szczędząc więc kosztów i „wieloletnich usiłowań,“ jak się wyraża cytowany przez nas Zug, zwyciężyła wszelkie przeszkody. Powoli trzęsawiska zamieniły się we wzgórza, a góry błota stały się pięknemi stawami lub zielonemi trawnikami. „Skorzystano (mówi Zug) ze wszystkich drzew piękniejszych, każda wierzba i topola dostarczyła dowcipnej księżnej materyału do jakiejś przemiany; jednem słowem korzystano z natury i nie zwichnięto jej niewłaściwie użytą sztuką.“ „Nie spodziewajcie się tu posłyszeć o pałacach, ozdobach rozetowych, oranżeryach lub grotach; niema tu śladu podobnych ozdób, miastom tylko stosownych; grupy małych, lecz pięknych domków wiejskich, o kształcie i wielkości rozmaitej, przy każdym śliczny ogródek, otoczony niezbyt wysokim płotem, wśród nich większy tylko domek, odznaczający się przyjemnem wzgórzem zielonem, na którem stoi, i do którego nie wiodą ani aleje, ani drogi, w linii pod sznur ciągnione, ale drożyny, wijące się po lasku aż do wiejskiego małego mostku przy starej gospodzie, rzuconego na kanał, otaczający całość: oto są przedmioty, które tu widzieć lub napotkać można.“

Owa „stara gospoda,“ rozpoczynająca sielankę polskiego Trianonu, prawdopodobnie niegdyś zwykła oberża nasza, przedstawiona jest na zamieszczonym rysunku, skopiowanym ze starego miedziorytu roboty Norblina.

Młyn pierwotny, dla którego zbudowana grobla przemieniła okolicę w grzązkie bagnisko, przeniesiono gdzieindziej. Z bagniska zrobiono sadzawkę a grunt zbyt płaski osuszono, dając odpływ wodzie przez wykopanie kanału. Otworzono źródła, zyskano przeto więcej wody, a w miejscach wilgotnych porobiono drogi suche.

Sam główny pałac był domem nieco większym parterowym, z wystawką piętrową. Zug opowiada, że zawierał on wszelkie wygody, że „nie masz w nim wspaniałości, ale urządzenie smakowite. Wiele obrazów dobrych mistrzów, główną ozdobę tu stanowi, a łazienka, której ściany okrywają tafle saskiej porcelany najkosztowniejszą jest częścią.“ Zkądinąd wiemy, że ściany tego pałacyku ozdobione były malowidłami scen wiejskich J. P. Norblina.

Oprócz pałacyku, zajmowanego zwykle przez samą księżnę Czartoryską, ilekroć w Powązkach bawiła, były jeszcze inne chatki w tymże rodzaju, mniej więcej wytwornie wewnątrz urządzone. Od całego tego obejścia schodziło się łagodną pochyłością wzgórza ku grupie starych jodeł, ocieniających gruzy łuku tryumfalnego rzymskiego, na pół okryte ziemią i zielonością... Łuk ten, jak powiada tylekroś przez nas cytowany Zug, jest „wcale pięknych proporcyi.“

Ztąd był widok na śliczny, zielony trawnik, otoczony z jednej strony drzewami, a poza sobą mający sadzawkę, której brzegi okrywały ruiny amfiteatru rzymskiego. Zaczynały się one od trzech samotnych kolumn i ginęły w gęstwinie drzew.

W tych ruinach mieściły się stajnie, zamaskowane drzewami i krzewami.



Ruiny zamku w Powązkach.

Trochę z boku na wzgórku (opisuje Zug), między zaroślami widać ładną chatę, ztąd drożyna idzie dalej i dolnym brzegiem wody. Tu poza wodą postrzega się budowę gotycką, z wieżyczką okrągłą. Budowa ta urządzona jest na holendernię, mieszka tu szwajcar, doglądający bydła. Łąka i sad, położone między wodą i tą budową, służą za pastwisko bydła i ożywiający przedstawiają obraz. Most pływający na obszernej sadzawce, łączy z sobą dwa brzegi; przestrzeń wód ożywiają łabędzie i wszelkiego rodzaju wodne zagraniczne ptactwo. Idąc dalej po nad wodą, wchodzi się w las, gdzie jest kilka ładnych altan wiejskich z kory drzewnej i gałęzi, mchem pokrytych, i tak się dochodzi do starego zrujnowanego młyna. Ponad zepsutem jego stawidłem, w którem znajduje się kilka uwięzłych pni drzewa, spada malownicza kaskada. Wnętrze młyna, do którego się wchodzi po małym mostku i zewnętrznych starych schodach, zawiera piękny pokój. Niedaleko ztąd, w lasku, są ruiny starego zamku, na górze wzniesionego, i reszty mostu sklepionego, który z góry tej prowadzi na drugą, na której wznosi się stara wieża.

Obok tych ruin zbudowano kilka chatek, a całość przedstawia widzowi, stojącemu na przeciwległym brzegu, okrytym trawnikami z rozrzuconemi wzgórkami, piękny widok, w guście teeatralnym. Nareszcie całość zakończoną jest pustelnią nad brzegiem kanału, której mieszkaniec jest zarazem nadzorcą posiadłości. Część lasu została obróconą na menażeryę rozmaitego ptactwa zagranicznego i w drugiej mieści się dobra oberża dla wygody publicznej; użyźniono płonny piasek w blizkości oberży, zasadzając na nim wierzby. Corocznie nowemi wysadami nagie pola tutejsze ożywiają się, a od strony Wawrzyszewa, rozdzielona została między rozmaite osoby z dworu księżnej, które pozakładały tam piękne domki, budowle gospodarskie i ogrody. Okolica ta zowie się Izabelinem od imienia księżnej.“

Takiemi były Powązki, ten polski Trianon, wyrosły na mazurskich piaskach, dzięki fantazyi pańskiej. Bawiono się tu wybornie, udawano pasterzy i pasterki, przybierano rolę i strój chłopski. Niekiedy wyprawiano tu wspaniałe uczty. W czterotomowym rękopisie, będącym w posiadaniu autora niniejszego, a zawierającym szereg listów pisanych z Warszawy do jakiegoś dygnitarza na prowincyi, znajdujemy pod dniem 23 maja 1787 r. doniesienie następujące:

„J. P. Potocki, podkomorzy podkoronny, dawał w przeszły tydzień obiad w Powązkach. Piramidy same, na stole stojące, z róży porobione, czterysta dukatów kosztować miały.“ Były to

więc prawdziwe zapusty, po których niebawem miał nastąpić długi, ciężki post.

Głośny poeta tej doby, Stanisław Trembecki poświęcił osobny, rymowany poemat Powązkom. Zachwycał go

„......... domek wielce miły,
Wnetby go lepsze rymy od mych uwieczniły;
Jego niewinna zdrada zadumienie czyni,
Wierzch podobny do chaty, środek do świątyni.“

Zachwycała go miejscowość; w której zgodnie z sentymentalnemi ideałami wieku, przy „wtórze fletni“ poeta liczył, że mu przybędzie „myśl swobodna,“ a jakby dziś powiedziano: natchnienie.

„Tu się gonić z kochanką przy miłych powiewach,



Oberza t. zw. „Stara gospoda“ w Powązkach.

Lub nieprzytomnej imię rysować na drzewach.“

Ale nadewszystko podobały mu się chaty z „poszewką ze trzciny,“ mające „boki z nieokrzesanej olszyny.“

„Tu sterczał komin nizki, tam dalej wysoki...
Tu widać wraz zebrane z porządkiem wygody,
Starożytność szacowną i najświeższe mody.“

Prawdopodobnie jest tu mowa o bibliotece, która mieściła się w osobnym pokoju w pałacu i zawierała wyłącznie dzieła polskie. Jednem słowem, była to ustroń pełna uroku, w której:

„... Młodzieniec, przybywszy z towarzyszką w parze,
Ciekawości zwiedzają, brzęczą na gitarze,
Nucą, skaczą, biegają, wreszcie potem zlani
Na zielonej odpoczną darni zmordowani;
Tu kompance łabędzie wskazując na wodzie,
Rozprawia o ich pieśni i Ledy przygodzie...“

Taką rozbawioną parę, zapatrzoną na łabędzie i marzącą „o Ledy przygodzie“ spotykała zazwyczaj dziewczyna w wiejskie szaty przybrana i zapraszała na mleko kwaśne z kartoflami lub barszcz biały, śmietaną zaprawny. Idą więc przytuleni do siebie do wskazanej im skromnej chatki, lecz gdy drzwi otworzą, wstecz się cofają, „słupieją im źrenice, rozchodzą się usta.“ Myśleli, że wchodzą do chaty, a widzą ściany pałacowe, godne idylicznej Baucis i Filona, Dafnisa i Chloe.

Ta sielanka, ten Trianon polski, niedługo jednak trwał. Burza 1794 r. zmiotła wszystko, kule ogniste popaliły pałace i chatki; nie zostało po tej wielkopańskiej fantazyi ani śladu. Na szczęście przed samem oblężeniem Warszawy, zdołano wynieść ztąd wszystko, co było cenniejszego do Puław, a więc galerye obrazów, szkice Norblina, przepyszne meble i bibliotekę.

Powązki straciły dawny urok, zwłaszcza że w r. 1790 na gruntach pobliskich, a darowanych przez Melchiora Szymanowskiego, starostę klonowskiego założono cmentarz, do dziś dnia istniejący. W r. 1796 od książąt Czartoryskich, zrujnowaną ich posiadłość kupił Łaszczyński.

Koło r. 1816 powstała spółka, która wyrobiła sobie monopol na wyroby tabaczne i fabrykę tu, w dawnem Trianon polskiem założyła. Jeden ze zrujnowanych budynków księżnej Izabeli, gdzie do niedawna słodkie szeptano słówka i „przy wtórze fletni“ bawiono się w sielankę, zamieniono na skład, na sortownię i krajanie liści tytuniowych. Fabryka ta stanowiła wówczas jakiś tajemniczy przybytek, do którego tylko wybranym wstęp był dozwolony, a robotnicy wchodzili doń przebrani w suknie tureckie. W r. 1822 fabryka ta zaczęła wyrabiać cygara z liści amerykańskich, lecz te tak mało były jeszcze używane, że kupowali je jedynie ludzie bogaci. W r. 1840 fabrykę tę przeniesiono do Siekierek.

Później nieco w Powązkach, w miejscach zajętych przez chatki wiejskie księżny Czartoryskiej, powstała restauracya z ogrodem „Izabelin“ zwanym, w którym dawano wesołe pikniki i bale, afiszami w mieście zapowiadane. Sama osada przechodziła różne koleje; od sukcesorów Łaszczyńskiego nabył ją żyd Icek Lejba Kohn — a dziś śladu nawet niema dawnych piękność Trianonu polskiego.

Sigma.

Karol Miarka.

(Na pamiątkę 25-ej rocznicy zgonu).

Dnia 15 b. m., upłynęło 25 lat, jak umarł Karol Miarka. Pamięć o nim nigdy umrzeć nie powinna ani pomiędzy Górnoślązakami, ani pomiędzy Polakami wogóle, ponieważ on pierwszy zorganizował, na pewnych stawił fundamentach obronę Górnoślązaków polskich przed niemczeniem.

Bronili już przed Miarką polskości na G. Śląsku pojedyńczo zacni mężowie, np. Lompa. Lecz Miarka powołał cały lud do obrony, założył ku tej obronie gazetę „Katolika,“ a bez gazet dziś w żadnej sprawie ludowej, publicznej, nic zdziałać nie można. Miarka zakładał związki polskie ludowe, których celem było lud pouczać, bogacić, szlachetnie zabawić. Zakładał „Kółka“ w różnych miejscach, konzumy, czytelnie, związek rolniczy. Na różnych zebraniach przemawiał do ludu polskiego w sprawach publicznych w ojczystym języku, którego lud ten po za Kościołem na zebraniach prawie wcale nie słyszał. On pierwszy skłonił lud, aby wybierał posłów katolickich, ile możności, umiejących po polsku. On pierwszy zaczął nawoływać lud górnośląski, że jest polskim, że polskim pozostać powinien, bo go Pan Bóg polskim stworzył. Miarka pierwszy otworzył oczy ludowi na to, że jest pod panowaniem pruskiem, że każdy Górnoślązak jest obywatelem pruskim, lecz co do narodowości, jest Polakiem, należy do rodu, szczepu pol-

skiego, czego znakiem jest, że językiem ojczystym rodowitego Górnoślązaka jest język polski; że obywatelstwo a narodowość, to dwie różne rzeczy.

Jednem słowem: co się z ludem górnośląskim stało od 50 lat, co się dla ludu polskiego dziś dzieje, czem i jakim jest dziś lud polski górnośląski — to wszystko pochodzi ze siewu rzuconego ręką Karola Miarki.

Siew ten jeszcze nie zeszedł w sercach wszystkich Górnoślązaków. Jeszcze prawie wszyscy synowie i córki górnośląskie niemczą się, skoro nauką i majątkiem cokolwiek wyrosną ponad prosty lud. Pełno zniemczonych księży, prawników, lekarzy, nauczycieli, kupców, rzemieślników. Pełno polskich mian zniemczonych albo choć polskich, jak się należy, to u ludzi, którzy się rodu swego polskiego zaparli i zapierają. Bez Karola Miarki byłoby jednak daleko gorzej, aniżeli jest dzisiaj; bez Karola Miarki i bez Opatrzności Boskiej, której Karol Miarka był narzędziem. Zasługą jego, że był chętnem narzędziem Opatrzności, że skoro spostrzegł, iż błądzi razem z ludem śląskim, zaraz nawrócił i innych błądzących nawoływał, aby też się nawrócili. I Miarka był zniemczonym, bo chociaż i ojciec i matka polskiego byli rodu, to, jakoby nie wiedzieli o tem, nie czuli się Polakami, dzieci po polsku nie wychowywali, o dziejach narodu polskiego nic im nie odpowiadali, książek polskich do czytania nie dawali, miłości do wszystkiego, co polskie w serca dzieci nie wlewali, przed niemczeniem nie przestrzegali, nie wołali na dziecko: jesteś katolikiem i Polakiem z woli Pana Boga, pozostań katolikiem i Polakiem, wypełniaj wolę Pana Boga. To jest do dziś główną przyczyną niemczenia się, że rodzice swych dzieci po polsku nie wychowują, o narodowość za mało dbają.

Opatrzność boska zrządziła, że Miarka poznał w Cieszynie Stalmacha, polskiego redaktora i innych wykształconych Polaków, a przez nich poznał książki polskie. Poznał, ile to pięknych i mądrych rzeczy napisali Polacy, ilu sławnych ludzi mieli i mają Polacy, jak sławnym i szlachetnym był i jest naród polski, że nie potrzeba się wstydzić, iż się jest Polakiem, lecz chlubić się z tego należy. Zaczął Miarka chodzić do gimnazyum, lecz wnet musiał przestać nauk gimnazyalnych, bo umarł ksiądz, który go w szkołach utrzymywał. W szkołach nauczyciele niemieccy mówili mu, jak do dziś dnia mówią, że polska mowa brzydka, że polski naród nic nie wart i nie ma znaczenia, że naród polski głupi i pełen wad i grzechów, że trzeba się wstydzić być Polakiem, że trzeba przystać do Niemców, trzeba się zniemczyć. Poznał później Miarka, że to wszystko było nieprawdą, przesadą lub oszczerstwem, co mu mówili panowie nauczyciele, którzy sami po polsku nie umieli, żadnej książki polskiej nie czytali i tylko z nienawiści Polaków błotem obrzucali, uważając za główne swoje zadanie niemczyć przez szkołę.

Do polskich książek zabrał się Miarka i z tego powodu: Ks. Bogedain, radzca szkolny, odwiedził szkołę w Pielgrzymowicach, gdzie Miarka był nauczycielem wiejskim. Poznał od razu, jakie wielkie zdolności miał młody nauczyciel i obiecał mu, że go zrobi przełożonym większej szkoły, jeżeli się dobrze nauczy po polsku. Wtenczas jeszcze rząd trzymał się prawa boskiego przyrodzonego i nadprzyrodzonego: nauka za pomocą języka ojczystego.

Skoro Miarka poznał skutkiem tego wszystkiego prawdę, skoro poznał, że jest narodowości polskiej i ma obowiązek wobec Boga i sumienia, aby tę narodowość w sobie utrzymać, skoro poczuł się Polakiem, nie sprzeciwiał się prawdzie. Nie tylko sam odtąd był Polakiem , lecz całemu ludowi śląskiemu przypominał, że jest z natury polskim i polskim pozostać winien. Nad tem pracował do śmierci, o to walczył, za to cierpiał.

Pracował dla ludu polskiego, wydawał „Katolika,“ pisał powieści polskie, komedyjki, urządzał teatra polskie (o czem przed nim nikomu na Śląsku się nie śniło), urządzał wiece, a miał wielki dar przemawiania do ludu; zgromadzał około siebie zacnych ludzi na Śląsku, którzy byli równego z nim ducha i razem z nim dla ludu polskiego pracować chcieli. Pracował dla potrzeb duchowych i cielesnych ludu. Kiedy powstał tyfus głodowy pomiędzy biednym, uciśnionym ludem na Górnym Śląsku, poruszył osobiście i pismem Polaków po za Śląskiem, aby pomogli rodakom śląskim, zapomnianym i całe wagony posiłków przychodziły z Warszawy i Królestwa.

Walczył za lud polski, bo jak dziś tak i wtenczas prawie wszystko, co miało moc w ręku i stało nad ludem, było przeciw polskości i pracowało nad tem, aby zniemczyć lud polski wbrew prawu Boskiemu. Posypały się na niego procesy, kary pieniężne i więzienne, za każde słówko go chwytano, aż rady nie było. Co chwila na kilka miesięcy wędrował do więzienia, które zdrowie mu podkopało i było przyczyną, że dostał cukrowej choroby i umarł przed czasem.

Walczył przeciw pokusom. Ofiarowano mu wiele tysięcy talarów, aby namawiał lud do wybierania posłów niemieckiego ducha, aby lud prowadził według woli panów tego świata, a nie według woli Boskiej. Odpędził pokusę, chociaż z rodziną był w ciągłej biedzie.

Mojżeszowi też ofiarowano, aby pozostał na dworze króla, który uciskał lud izraelski. Lecz Mojżesz wolał opuścić wygody dworu królewskiego i po-



Karol Miarka.
* 24. 10. 1824. † 15. 8. 1882.

szedł do swego ludu uciśnionego i biednego, aby razem z nim cierpieć i aby go wyswobodzić z niewoli egipskiej. Że taka też była wola Boska, to się pokazało przez to, że Bóg sam uczynił Mojżesza przywódzcą narodu izraelskiego.

Każdy lud potrzebuje przywódzców, jak każda rodzina, gmina, związek potrzebuje głowy, która ma więcej rozumu i czasu i siły, aby lud prowadzić. Bóg też każdemu narodowi zesyła przewodników, jak zesłał Mojżesza, proroków, sędziów narodowi izraelskiemu. Takim przywódzcą ludu był Karol Miarka. Zasługą jego, że wypełniał posłannictwo, że nie zamykał umyślnie oczu na prawdę, że słuchał głosu wyższego, że zrobił ze siebie ofiarę dla ludu, że wytrwał aż do końca, że użył swego talentu nie dla siebie, lecz dla ludu swego polskiego.

Po Mojżeszu Bóg zesłał Jozuego i innych przywódzców ludu, lecz Mojżesz był najpierwszym. Oby Pan Bóg i ludowi polskiemu zesyłał zawsze bogobojnych a mądrych przywódzców; aby jak najwięcej Ślązaków, pochodzących z rodzin polskich szło za przykładem Miarki; aby uznali prawdę, że są Polakami; oby nie trzymali dla swej wygody i zysku z potężnymi faraonami, wrogami polskości, lecz poszli do ludu swego, aby z ludem cierpieli i walczyli.

Ojcowie i matki, opowiadajcie dzieciom o Karolu Miarce z pokolenia na pokolenie, aby wielu stało się jemu podobnych. Tak najlepiej okażecie mu wdzięczność, w ten sposób duch jego działać będzie ciągle!

„G.“

ZAGRODA.

Kochaj, bracie, swą zagrodę,
Gdzieś ujrzał to słońce,
Gdzieś przepędził lata młode,
Jak pączek na płonce.

Niech ci będzie zawsze miła
Strzecha domu tego,
Gdzie cię matka nauczyła
Pacierza świętego...

Jak to słońce świeci jasno,
Bóg tak rozkazuje;
Niech każdy, jak matkę własną,
Chatę swą miłuje...

Kto swej chaty nie ma w cenie,
Gorszy jest, niż zwierzę,
Bo zwierz nawet swe schronienie
Miłuje i strzeże.

X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie.

(22–25 lipca r. b.)

Zadanie Zjazdów lekarzy i przyrodników polskich polega głównie na ujawnieniu postępów w obszernej dziedzinie nauk przyrodniczo-lekarskich, na wykazaniu, co do tych postępów w danym okresie czasu dorzuciliśmy i my, oraz na zastosowaniu zdobytych postępów nauk do celów praktycznych, a nadto na zaznaczeniu łączności duchowej i na tem polu pomiędzy trzema dzielnicami Polski.

Każdy Zjazd lekarzy i przyrodników polskich ma swoją kwestyę dnia. Taką kwestyą dla Zjazdu IX była podjęta w całym świecie cywilizowanym walka z gruźlicą. Taką kwestyą dla Zjazdu X jest walka z drugą plagą ludzkości: rakiem.

Już na pierwszem zebraniu ogólnem członków oraz uczestników X Zjazdu prof. Ludwik Rydygier ze Lwowa zagaił sprawę akcyi przeciwrakowej.

Na jednem zaś z posiedzeń sekcyjnych dr. Józef Jaworski z Warszawy zdał sprawę z czynności Warsz. komitetu do badania i leczenia raka.

Rak jest jedną z najgroźniejszych chorób. Pomimo że zabiera on mniej ofiar, niż gruźlica, przewyższa ją pod względem nieuleczalności. Nauka wobec raka jest, jak dotychczas, prawie bezsilna, nie prędko przeto straszna ta choroba przestanie być marą dla lekarza, torturą dla chorego i klęską społeczną.

Walka z rakiem najpierw podjęta została we Francyi, już bowiem w roku 1700 Akademia Lugduńska ogłosiła konkurs za najlepszą pracę o przyczynach, istocie, skutkach i sposobach leczenia raka („Prix du cancer“).

W r. 1807 powstaje w Anglii Liga badania raka i takąż Ligę zakłada i Francya w r. 1892. Ale z braku poparcia ze strony społeczeństwa obie te Ligi dość prędko znikają z widowni.

Walka z rakiem dobrze pomyślana — to rzecz czasów najnowszych, a podjęto ją przedewszystkiem w Niemczech. (Być może bodźcem głównym była tutaj choroba cesarza Fryderyka III). Dość, że w lutym roku 1900 powstaje tam niemiecki komitet do badania raka, „Deutsches Komitet für Krebsforschung“ z osobnem pismem „Zeitschrift für Krebsforschung“. We trzy lata później wznoszą już w Berlinie osobny instytut do badania raka „Institut für Krebsforschung“ w szpitalu Charite z funduszów, uchwalonych na ten cel przez parlament niemiecki.

W Królestwie Polskiem nie wiele w tym względzie zrobiono. Że jednak naród nasz od dawna przejawiał dużo uczucia ludzkości, niech świadczy fakt, że w Warszawie już w r. 1591, a zatem o całe dwa stulecia wcześniej, aniżeli w Anglii (szpital Middlessex, jak o tem była mowa, założony został w r. 1792) staraniem ks. Piotra Skargi „Szpital dla Gnojników“, czyli, ludzi w gnoju porzuconych, który przygarniał przeważnie chorych rakowatych. Dzisiaj szpital ten jest dla chorych skórnych oraz wenerycznych, posiada jednak osobny oddział i dla rakowatych, których rocznie przyjmuje około 50—60.

Drugą instytucyą, w której rakowaci znajdują przytułek, jest Królikarnia pod Warszawą, zakład dla chorych nieuleczalnych, obliczony na 23 łóżka (z tej liczbę $^2/_3$ dla chorych na raka).

W dniu 6 lutego roku ubiegłego z inicyatywy referenta, dr. Jaworskiego, powstaje w Warszawie osobny „komitet do badania raka“, którego prezesem obrano dr. M. Rejchmana, wiceprezesem, dr. Żurabowskiego.

Komitet w ciągu krótkiego swego istnienia zdołał już wykonać pewną ilość zadań.

Z tablic statystycznych, wystawionych przez dr. Jaworskiego na połączonej ze Zjazdem lekarzy wystawie przyrodniczo-lekarskiej we Lwowie, widać, że w całem Królestwie Polskiem umiera na raka rocznie osób około 7000.

Nie należy wątpić, że walka z rakiem, jako posiadająca tak szerokie znaczenie społeczne, znajdzie i w naszem społeczeństwie również żywy oddźwięk, jaki znalazła już i walka z gruźlicą. Okazało się bowiem ze sprawozdania stałej Delegacyi Zjazdów, że Królestwo Polskie, aczkolwiek znajduje się w gorszych warunkach niż np. Galicya, jednak do walki z gruźlicą zabrało się o wiele energiczniej. Fakt ten ze wszech miar jest godny podkreślenia.

Jeszcze donioślejsze znaczenie społeczne, niż walka z rakiem i z gruźlicą, ma walka z alkoholizmem.

Jeżeli się zastanowimy, że dzięki samemu tylko podjęciu przez te bądź owe państwa środków do walki z tą plagą, dobrobyt ludu od razu wzrasta, a liczba chorób, jako też i liczba występków i zbrodni maleje, to zrozumiemy, dlaczego X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich utworzył osobną sekcyę do walki z tak niebezpiecznym wrogiem.

X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich był Zjazdem imienia ś. p. Marcelego Nenckiego. Słynnego tego uczonego uczczono pomnikiem, który odsłonięto wobec dostojników wszechnicy lwowskiej, rektora i dziekanów wydziałów, komitetu gospodarczego Zjazdu oraz licznie zebranych uczestników Zjazdu. Pomnik Nenckiego, dzieło dłuta artysty-rzeźbiarza Antoniego Popiela, wmurowany jest w ścianę instytutu chemii lekarskiej i popiersie opiera się na cokole marmurowym, na którym widnieje napis:

Marcelemu Nenckiemu
X Zjazd lekarzy i przyrodników
polskich we Lwowie.
MCMVII.



Sierpień.

Cześć tobie, gościu upragniony,
Co od niebieskich schodzisz bram,
I hojne z sobą niosąc plony,
Za trud żarliwy płacisz nam!

Cześć tobie, cześć, szafarzu Boski,
Rozdawco szczodry Pańskich łask,
Co głód nasyczasz, koisz troski,
Radości w sercach niecisz blask.

I rzeszę spracowaną ziemian
Niepomną czynisz, w szczęściu już,
Przebytych wrogich losu przemian,
Wiosennych słót i letnich burz!

O ty w dobroci nieprzebrany,
Co błogosławisz zbiory zbóż,
Jak żyzność wlewasz w nasze łany,
Tak siły ducha w człeku mnóż.

Niech, jak ten oracz, co wytrwale,
Pod chleb uprawia zagon swój,
W winnicy Twej, ku Twojej chwale,
Pracownik chętnie znosi znój.

A śród zawodów, trudów, cierpień,
Ty w nim nadzieję błogą żyw,
Że też i jemu szczęsny Sierpień,
Dokonać da obfitych żniw.

Adam Pług.

Złote listki.

Gdy nie ma się co mówić, trzeba cicho siedzieć;
Lepiej milczeć rybeńko, niż głupstwo powiedzieć.
Aleksander Fredro.

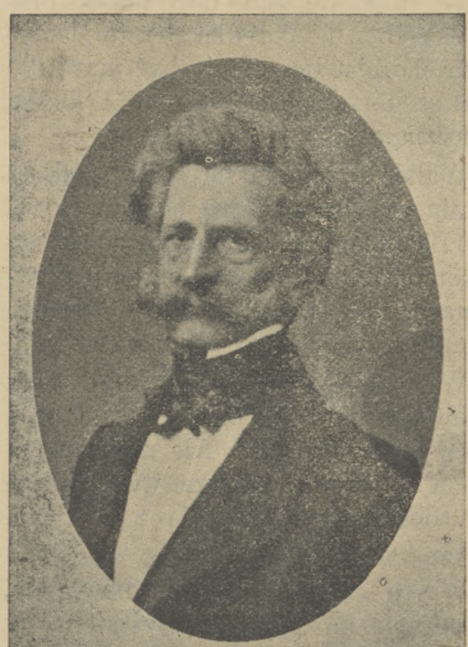
Słówko o czapce — „maciejówce“.

W tych dniach wertując różne stare szpargały, znalazłem opis i genezę czapki, której z lubością używali ojcowie i dziadowie nasi, a która była naprawdę „maciejówką“, tak podobną do



Maciej hr. Mielżyński z Chobienic
członek Komitetu narodowego w 1848 r.

obecnie wprowadzonej w modę, jak... jak piernik do wiatraka. W prawdziwych „maciejówkach“, tych dawnych, nie nowoczesnych, wystąpiła pod Miłosławiem jazda pleszewska, którą



Seweryn hr. Mielżyński z Miłosławia
członek Wydziału wojskowego w 1848 r.

dzielny pułkownik Białoskórski przyprowadził i z którą zadecydował zwycięstwo stanowcze.

W historyi W. Ks. Poznańskiego w pierwszej, oraz w początkach drugiej połowy ubiegłego stulecia rolę nadzwyczajną odegrali dwaj bracia, hrabiowie Mielżyńscy: Seweryn i Maciej. Obaj mężowie ogromnych zasług, nieposzlakowanego charakteru, wzorowi pod względem cnoty obywatelskiej. Maciej, magnat całą gębą, był adjutantem generała Chłapowskiego, odbył wyprawę litewską w r. 1831-ym, odznaczył się pod Lidą i Oranami, a pod Długosiodłami zasłynął brawurową odwagą, przebijając się samotrzeć przez cały batalion piechoty rosyjskiej. Za ten czyn awansowany został na majora i odznaczony krzyżem *Virtuti militari.*

Później odcierpiał karę więzienną w Prusach i osiadł w dobrach swoich w W. Ks. Poznańskiem, gromadząc około siebie wszystko, co Polska wówczas posiadała najlepszego. Skąpy dla siebie, hojny aż do rozrzutności, gdy chodziło o cele ogólne, stał się pan Maciej (bo tak go nazywano) wzorem obywatela, bożyszczem ludności polskiej. Patrzono na niego, jak w tęczę i naśladowano. Ponieważ zaś ten znakomity mąż, odznaczał się skromnością, ale i pewną oryginalnością w ubiorze, więc wkrótce i pod tym względem zaczęto go naśladować, uważając strój, przez „pana Macieja“ noszony, za najodpowiedniejszy, „narodowy.“

Ubiór był prosty, jak powiada kronikarz ówczesny, a składała go „skromna i krótka czamarka, czarna, granatowa, lub ciemno-popielata, i czapka okrągła nizka, obowiązkowo granatowa, z małym daszkiem, przylegającym prawie szczelnie do czoła. Takie czapki zaczęli zaraz wyrabiać kapelusznicy poznańscy i dla popularności, jaką cieszył się ogólnie hr. M. Mielżyński, do dziś dnia noszą one w handlach nazwę „maciejówek.“ *Wł. Tr.*

Z teki tetryka.

Człowiek dowcipny w towarzystwie ludzi ograniczonych, podobny jest do zapałki szwedzkiej bez pudełka.

* * *

Nic dziwnego, że małe dziewczynki chcą być noszone na rękach, skoro nawet kobiety dojrzałe wymagają, aby je mężowie na rękach nosili.

Życie prywatne cara.

Ogół mniema, że w obecnych burzliwych czasach Mikołaj II., car rosyjski, zamknięty w głębi swych pałaców, spędza dzień i noc w trwodze, będąc pochłoniętym zawikłanemi sprawami dotyczącemi polityki i dobra dynastyi. Takie mniemanie jest błędnem. Car spędza żywot spokojnie wśród słodkich uciech rodzinnych, w zupełnej nieświadomości ważnych wydarzeń państwowych. Podajemy tu kilka małoznanych szczegółów w tej sprawie.

Przed kilku laty car Mikołaj II. przechadzał się w okolicach Carskiego Sioła z jednym ze swych ulubieńców, szefem żandarmeryi. Trzeba było przebyć strumień, w pobliżu którego pracował „mużyk“ (chłop rosyjski). Generał towarzyszący carowi, zwrócił się do chłopa, mówiąc: „Przenieś nas na plecach na drugą stronę. Dostaniesz za to od każdego z nas po 50 kopiejek.“

„Mużyk“ zgodził się, nie wiedząc z kim ma do czynienia. Najpierw przeniósł cara, potem wrócił po generała. Zobaczywszy, że chłop z generałem na plecach jest już na środku strumienia, car, lubiący figle krzyknął:

„Zrzuć go do wody, to ci dam rubla.“

Chłop, chciwy na pieniądze, poruszył się tak, ażeby zasłużył na obiecaną nagrodę, ale w tej samej chwili generał szepnął mu do ucha: „Pośpiesz się, wynieść mnie na ląd, to zarobisz trzy ruble!“

Chłop... pożałował swego ciężaru i przeniósł go na drugą stronę.

„Nieszczęsny! A więc jeszcze mnie nie poznałeś? Jak ty śmiesz nie słuchać swego cara?“

„O, ojcze nasz, karmicielu, gołąbku,“ krzyknął chłop, rzucając się do nóg carowi, „dlaczegoś nie dał się poznać? Jabym ci go utopił darmo!“

Wypadek ten świadczy, że zarówno car jak i generał znali naturę chłopa rosyjskiego, sprzedajnego do najwyższego stopnia, a jednocześnie można dodać, że choć wydarzyło się to stosunkowo niedawno, należy już jednak do dalekiej przeszłości.

Bo teraz wydarzenie takie byłoby niemożliwem. Zmieniły się mianowicie dwie rzeczy: Najpierw ubóstwianie samowładcy rosyjskiego przez „mużyka“ osłabło, a powtóre car nie odważyłby się obecnie na taką przechadzkę.

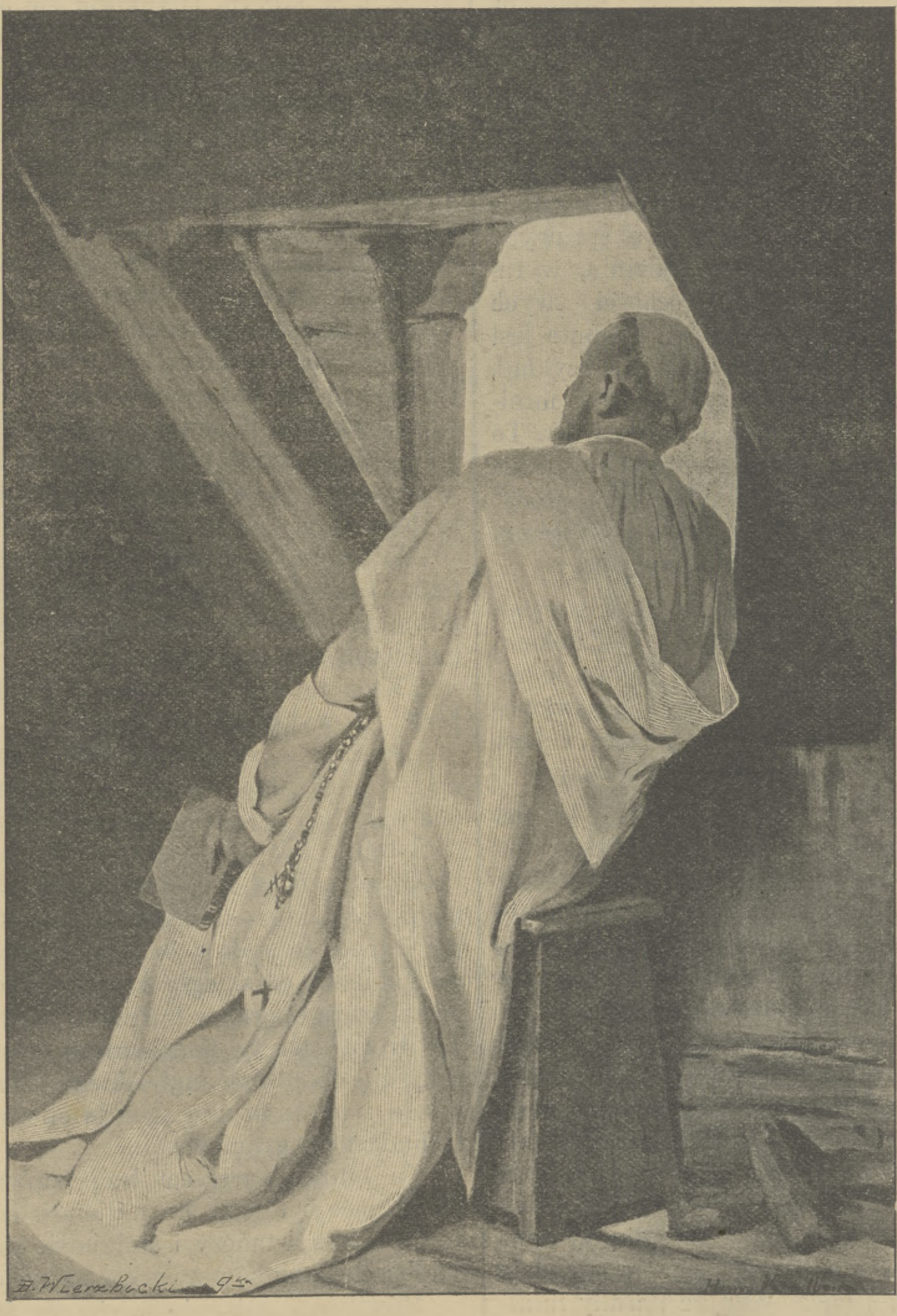
W carze mieszczą się dwie bardzo różne istoty: pierwsza to władca, na wskroś przejęty myślą o świętości swego powołania, który żąda dla siebie czci religijnej, i druga istota wewnętrzna, coś w rodzaju poczciwego burżuja, w ogólności bardzo łagodnego, bardzo uprzejmego... prawdziwie sympatycznego.

Względem rodziny jest tak uległym, że robi dla niej wszystkie ustępstwa, nawet wobec żądań wprost barbarzyńskich. Nerwowy i chwilami zirytowany car zupełnie poddaje się tym, którzy potrafią nim kierować.

Otoczenie cara stara się za pomocą wielce sprytnych sposobów nie dopuścić do niego odgłosów świata zewnętrznego. Wszystko, o czem się car dowiaduje, dochodzi do niego w postaci dowolnie przedstawionej przez dworzan.

Rzadko bardzo w życiu cara wypadają dni, w których jest on czemś poważniejszem poruszony. Zresztą otoczenie niezbyt dba o niego i pozwala mu spędzać czas w spokoju, wśród uciech rodzinnych, niewinnych zabaw i figlów. Zaiste jestto tragiczne przeciwieństwo do tego, co się dzieje o kilka kroków za temi niedostępnemi murami, gdzie wre i kipi krwawe życie rewolucyjne.

A carowi ciągle mówią książęta, ministrowie i dworzanie, że wszystko jest w najlepszym porządku. Car był przekonany, że zeszłoroczny piętnastodniowy pobyt jego na morzu miał dowieść światu, że wrzenie marynarzy w Kronsztadzie było tylko zwykłym buntem, wydarzeniem odosobnionem i pozbawionem znaczenia. Pobyt ten na morzu wśród marynarzy gwardyi miał zadać kłam twierdzeniom, że wojsko to jest zrewolucyonizowane. Takie rozumowanie przedstawiano carowi, ażeby go namówić na tę przejażdżkę. Rzeczywistym zaś powodem była następująca okoliczność: Dwóch wielkich książąt zawiązało pod bokiem cara sprzysiężenie w celu stworzenia dyktatury wojskowej. Otóż



SAMOTNIK.

starano się usilnie, ażeby car nie wszedł w porozumienie ze spiskowymi.

Pobyt na wybrzeżach finlandzkich był wspaniałym. Jacht carski „Gwiazda Polarna,“ płynął wśród prawdziwej eskadry statków, które niby to zjawiły się dla uczczenia monarchy, co bardzo cara wzruszyło. W istocie zaś miały one obowiązek palenia w nocy świateł bengalskich i sztucznych ogni... Lecz w jakim celu? Otóż dlatego, ażeby oświetlić morze i udaremnić wszelkie zamachy torped rewolucyjnych na carski jacht.

Używa się wszystkich możliwych środków w celu dodania carowi otuchy.

A jakim sposobem car dowiaduje się o wypadkach w państwie i za granicą? Istnieje przy dworze specyalny urząd, zwany „ekspedycyą pism,“ który przyjmuje czasopisma. Wszystkie pisma są przepuszczane przez pięć sił. Najpierw przegląda je sztab urzędników i oznacza czerwonym ołówkiem to, co wydaje im się odpowiednim dla cara Wszechrosyi. Druga falanga urzędników wycina te artykuły i za pomocą szpilek umieszcza je na dużych arkuszach papieru. Trzecia gromada urzędników rewiduje arkusze, usuwa „niewłaściwe artykuły, a resztę oddaje dyrektorowi swemu, który jeszcze to i owo wymazuje i następnie oddaje tę „śmietankę“ ministrowi spraw wewnętrznych, który ją przekazuje dworowi. To co potem zostanie, jest przepisywane na maszynie. W czasach, kiedy Trepow był komendantem pałacu, on jeszcze raz przeglądał to wszystko... I oto są wiadomości prasowe, które odczytuje Mikołaj. A skutki tej lektury są takie, że jeżeli kto z wielkich książąt lub księżnych (szczególniej siostra cara, Ksienia) pokaże carowi opis jakiego niezwykłego wydarzenia w dzienniku, który go podał, car czyta, uśmiechając się, wzrusza ramionami i nie wierzy ani słowa.

Trzeba przyznać, że te manipulacye zdołały sprawić, że car czuje się zupełnie bezpiecznym. Chcąc przekonać go o zupełnej bezsilności rewolucyonistów, używa się takich fortelów, jak naprzykład następujący: Zeszłego lata, w przeciągu dwóch miesięcy, car niemal codziennie znajdował pod poduszką listy z pogróżkami, przedstawiające w barwny sposób cierpienia narodu. Raz znalazł wydrukowane te słowa: „Jesteś nędznikiem, w przeciągu piętnastu dni umrzesz.“ Albo: „Jesteśmy na miejscu, nie wymkniesz nam się.“ Czasem były to numery dzienników terrorystycznych.

Z początku car był oburzony i nieco zaniepokojony. Ale pomimo wszelkiej czujności sztuczka powtarzała się, co było oczywistym dowodem, że winni znajdują się w otoczeniu carskiem i że był to tylko sposób, ażeby wykazać carowi, jak jest strzeżonym i że rewolucyoniści nic mu zrobić nie mogą. Stopniowo car oswajał się z tą zabawą, oczywiście nie rozumiejąc jej, a w końcu już sobie żartował. Kiedy go jeden ze służących rozbierał, car mawiał do niego. „A co, Mikołaju, możebyśmy tak poszukali pod poduszką?“

Sprawami państwa zajmuje się zaledwie kilka godzin dziennie w sposób bardzo niedbały. Niema tu żadnych narad ministeryalnych: każdy z ministrów przedstawia swe sprawy z osobna, w określonej godzinie, wyraża swe opinie w nieobecności swych kolegów, przez co wszelka dysputa jest usuniętą. Zdarzało się, naprzykład, że pewne wydarzenie, dotyczące ministeryum wojny, zaszło w czwartek. To załatwienie związanych z nim spraw było odkładane do następnej środy, bo to był najbliższy dzień poświęcony wzmiankowanemu ministeryum.

Podczas sprawozdań ministeryalnych Mikołaj stosownie do udzielonej mu rady siada zwykle w cieniu, a minister znajduje się w pełnem oświetleniu, ażeby car mógł wyczytać z jego twarzy wszelkie poruszenia duszy.

Oczywiście są to kpiny, bo tak przebiegli ludzie jak ministrowie carscy nie daliby się tak łatwo wywieść w pole. Przeciwnie w chwilach, kiedy są sam na sam z carem, najłatwiej im okłamywać go i tumanić. Można zrozumieć, jakie są rezultaty tego, że żaden minister nie wie o tem, co robią z carem jego koledzy. Mikołaj rzadko który dokument podpisuje sam. Zwykle minister czeka na decyzyę carską i sam w obecności cara podpisuje „przyjęte,“ lub też „odrzucone przez jego cesarską mość.“ Zresztą od pewnego czasu odbywają się, wprawdzie nie często, nadzwyczajne narady ministeryalne, ale żaden z uczestników nie wie dokładnie, czego chcą inni. Otóż często zdarza się, że car, zmęczony dysputą, rozstrzyga kwestyę, że tak powiem, skinieniem głowy. Wypadek taki zaszedł naprzykład na naradzie, po której Trepów wpadł w niełaskę. Trepów, mianowicie, zakończył swą przemowę następującem zdaniem, które głęboko uraziło cara, przekonanego o tem, że doskonale zna potrzeby narodu i państwa: „Streszczając to, co powiedziałem, mówił Trepów, „stwierdzam, że popełniono ogromny błąd, nie powoławszy do władzy kilku członków.“ Car, nie powiedziawszy ani słowa, wstał i opuścił zebranie.

Car bardzo lubi zabawę z swemi dziećmi, a jak dobrze te zabawy wpływają na bieg spraw, o tem świadczy następujące wydarzenie, w którem ośmioletnia carówna Tatjana zdołała oddać wielką przysługę państwu wszechrosyjskiemu. Działo się to podczas wojny rosyjsko-japońskiej. W carskim gabinecie znajdował się kufer, do którego sam car tylko posiadał klucz, a w którym znajdował się aparat telegraficzny, połączony drutem bezpośrednio z kwaterą Kuropatkina. Car w ten sposób otrzymywał raporty wprost z placu boju. Po jakimś czasie Mikołaj spostrzegł, że działania Japończyków są zupełnie takie, jak gdyby oni dokładnie wiedzieli o zamiarach Kuropatkina. To go bardzo zmartwiło, ale jakież było jego zdziwienie, kiedy spostrzegł, że sekretne raporty Kuropatkina są drukowane, oczywiście bez jego pozwolenia, w pewnym wielkim dzienniku angielskim, jako pochodzące od korespondenta wojennego. A więc ktoś przejmował te depesze.

Wdrożono śledztwo, ale bez rezultatu. Car głośno wypowiadał z tego powodu oburzenie swoje w obecności małoletnich swych córek.

„Któż to może otwierać ten kufer?“ — wykrzyknął w końcu.

„Ależ,“ — zawołała mała Tatjana, — „otóż przecież mis' go otwiera; ona ma klucz i codzień tu chodzi.“

Istotnie tak było.

Guwernantka angielska kazała sobie dorobić klucz do kufra i, korzystając z tego, że stale z dziećmi chodziła do gabinetu carskiego, kopiowała depesze, które aparat w kufrze drukował. Tą drogą sekrety Kuropatkina dostawały się do pisma angielskiego. Oczywiście winowajczynię odstawiono natychmiast do granicy.

Na biurku carskiem leżą papiery, decydujące o losach stu milionów ludności, a wokół tańczy i śmieje się gromadka cherubinków z carem na czele...

Mówiliśmy już o tem, że car jest pilnie strzeżony.

Peterhof jest otoczony murem trzymetrowej wysokości wzdłuż którego rozmieszczone są co dwa metry placówki wojskowe żołnierzy i oficerów gwardyi. To samo jest w Carskiem Siole, zimowej rezydencyi cara.

Wieczorem, kiedy car oddala się do swych komnat, nikt, nawet z najbliższych krewnych, nie może widzieć się z carem, nie zameldowawszy się uprzednio przez dyżurnego kamerdynera. Taki kamerdyner czyta wszystkie nadchodzące depesze, nawet najbardziej dyskretne, i od godziny dzie-

siątej wieczorem, aż do rana jest osobą najwpływowszą w państwie. Bo nie zawiadomiwszy cara o tym lub o owym fakcie, wpływa on nieraz na bieg historyi.

Ci kamerdynerzy są to ludzie wypróbowanej wierności, z których kilku służyło już ojcu i dziadkowi obecnego cara. Mają oni wpływ na cara, może nawet większy niż którykolwiek z wielkich książąt.

* * *

O trwodze w otoczeniu cara podczas zjazdu tegoż z cesarzem Wilhelmem na morzu pod Swinoujściem gazety następujące podają szczegóły:

Z całego spotkania cara z cesarzem Wilhelmem, z którego nietylko treść rozmów, ale nawet szczegółów zewnętrznych, czysto obrazowych, gazety nie były w stanie podać, najciekawsza jest właśnie owa nadzwyczajność środków ostrożności, uwydatniająca też nadzwyczajność trwogi, panującej w otoczeniu cara, a dochodzącej aż do granic obłędu. Spotkanie odbyło się w takich warunkach, że aby było bezpieczniejszem, musiałoby się chyba rozegrać na księżycu, a jeszcze przecież zaostrzono je całym szeregiem zarządzeń w swej surowości aż bezcelowych, a nawet wprost przeciwne mogących wywołać skutki.

Tak n. p. korespondent paryskiego dziennika „Temps" prosił o rozmowę osobiście znanego sobie urzędnika rosyjskiego na pokładzie okrętu carskiego „Standart." Na pokład „Hohenzollerna," jachtu (okrętu) cesarza Wilhelma dopuszczano w takich razach bez dalszych badań każdego, inaczej jednak było ze „Standartem." Urzędnik ów — posiadający stopień jenerała — zawiadomił korespondenta, że może zbliżyć się do „Standarta" w łodzi parowej, ale nie może wstąpić na pokład jachtu carskiego, lecz musi bezwarunkowo przez cały czas siedzieć w kajucie łodzi (to jest w izbie pod pokładem) i nie pokazywać się na zewnątrz. Tak się też stało, jenerał rosyjski zeszedł do paryskiego korespondenta do łodzi i tam pod jej pokładem obaj przepędzili czas swej rozmowy.

Jeszcze ciekawszą jest przygoda, jaka się zdarzyła szefowi tajnej rosyjskiej policyi w Paryżu, którego sprowadzono do Swinoujścia, aby czuwał nad carem. Otóż ten pan, który jest rosyjskim radcą państwowym i był w pełnym mundurze, w ciągu swoich objażdżek uznał za potrzebne wstąpić na pokład jachtu carskiego, ale oficer, pełniący służbę, bezwarunkowo na to nie pozwolił, tak, że opiekun cara musiał się jak niepyszny wrócić.

Do jakiego zaś stopnia trwoga opanowała osobę samego cara, świadczy fakt, opowiedziany przez korespondenta wspomnianego paryskiego dziennika „Temps." Oto kiedy car przejeżdżał tuż po przybyciu swojem w łodzi koło parowca przeznaczonego dla policyi pruskiej, która go strzegła, a którego załogi nie znał, przeżegnał się nagle z widoczną trwogą.

I to się nazywa „panowanie!" — „samowładztwo!" I dla utrzymania tego stanu wiecznej trwogi od lat dwóch w Rosyi krew się leje, a kolos państwa rosyjskiego przewraca się we wnętrzach swoich!

Napoleon I i królowa Luiza.*)

Z powodu setnej rocznicy spotkania się Napoleona I z królową pruską Ludwiką w Tylży w dniu 5 lipca 1807 roku, spotkania o którem krążyło tyle bajek, dzienniki niemieckie podają różne szczegóły. Między innemi „Börs. Courr." przytacza opis autentyczny tego historycznego faktu, zaczerpnięty z dziennika ochmistrzyni dworu pruskiego, pani Voss:

„Królowa przybyła do Tylży dnia 6 b. m. wczesnym rankiem i zamieszkała w pobliskiej wiosce Piktuponen, w domku młynarza Huber. Przed południem odwiedził ją cesarz Aleksander i rozmawiał z nią długo. Podczas obiadu przybył wielki koniuszy Coulaincourt z pozdrowieniem od Napoleona".

O jego wizycie z dnia następnego pani Voss tak pisze:

„Przyjęłam go wraz z hr. Tauenzien u stóp schodów. Okropnie brzydki, gruby, mały, pospolity, żadnej prezencyi, ma twarz ciemną, oczy okrągłe, rysy ostre i twarde, tylko usta ładnie zarysowane i zęby śliczne.

„Królowa obawiała się niegrzeczności tego źle wychowanego człowieka, który bywał nieraz brutalnym wobec głów koronowanych i ministrów. Lecz syn adwokata z Ajaccio został odrazu ujęty wdziękiem i „królewskością" monarchini. Chociaż idąc do niej, potknął się na schodach, choć zaklął energicznie, jednak, gdy otworzyły się drzwi i ujrzał piękną kobietę, która



Napoleon I. w stroju koronacyjnym według portretu Gerarda.

*) Patrz artykuł p. t. „Z dziejów upadku Prus IX", zamieszczony w nr. 27-ym „Pracy" z r. b. — Przyp. Red.

mu bardzo uprzejmie wyrażała żal z tego powodu, odpowiedział komplementem, że: „na drodze do takiego celu nie trzeba się zrażać przeszkodami“. Wieczorem przy obiedzie, który wydawał na cześć gości monarszych (w domu radcy prawnego Siehr), był pełen galanteryi dla królowej, choć prześladował ją żartobliwie za jej „wojowniczość“. Rozmawiał także i ze mną. Po obiedzie miał z królową konwersacyę bardzo długą, z której królowa była zadawolona. Wróciłyśmy około północy do Pitkuponen. Odwiedził nas jeszcze potem wielki książę Konstanty, tak, że królowa położyła się nad ranem“.

O słynnej rozmowie przy stole, w której królowa dała Napoleonowi różę za Magdeburg, pani Voss nic nie wspomina.

Z innego artykułu w „Danz. Ztg.“ dowiadujemy się, że Napoleon, pisząc tego wieczoru do Józefiny, tak się wyraził:

„Królowa pruska jest czarująca, była wobec mnie pełną kokieteryi, ale bądź spokojna, wszystko to spływa po mnie, jak po wosku“.

Do cesarza Aleksandra mówił tegoż wieczoru:

„Na honor, zamiast odbierać koronę królewej pruskiej, pragnąłbym raczej złożyć ją u stóp tej uroczej kobiety“.

Pomimo to nazajutrz w rozmowie z posłem Goltzem oświadczył mu krótko i węzłowato, że nie odda Magdeburga, o który go tak usilnie prosiła. A hrabiemu Tołstojowi powiedział: „Powtórz pan swemu cesarzowi, że cokolwiek robię dla Prus, czynię to dla niego a bynajmniej nie dla pięknych oczów królowej pruskiej — tem mniej dla króla“. Zaprosił znowu królewską parę do siebie na obiad w dniu 7-go lipca.

Było to trzecie i ostatnie spotkanie Napoleona z Luizą. Królowa pełna nadziei, usłyszawszy z ust Goltza te złowrogie oświadczenia, uszom własnym wierzyć nie chciała.

I tego wieczoru cesarz Francuzów był dla królowej pruskiej uprzejmym, ale mniej rozmownym i bardziej ponurym.

„Szatański uśmiech przebiegł mu po ustach, gdy królowa, żegnając go, powiedziała:

— „Sire, zawiodłeś mnie srodze“.

„Odjechała z mężem do Kłajpedy, zgnębiona swem niepowodzeniem — pisze autor artykułu „Danz. Ztg.“ — Napoleon zrobił na niej jednak wrażenie siłą woli, niezłomną energią, nazywała go „człowiekiem żelaznym“.

Wielki zdobywca zachował w sercu wspomnienie tej słodkiej postaci. Do jednego ze swych towarzyszów na wyspie św. Heleny mówił, że dni tylżyckie należały do najmilszych w jego życiu: „Zwyciężyłem cesarzów i królów, i Afrodyta żebrała mego zmiłowania“ — chełpił się w swym upadku.

Przyszła wojna.

Coraz częściej, coraz więcej rozmaici autorowie piszą o przyszłej wojnie. Świeżo pojawiła się w Paryżu interesująca broszura deputowanego Juliusza Roche, który zastanawia się nad ekonomicznemi następstwami przyszłej wojny, o ile naturalnie, dojść może do nich w latach najbliższych.

Autor broszury dochodzi do wniosku, że wobec wielkiej zawisłości dzisiejszego życia ekonomicznego, wojna spowodowałaby ogólną katastrofę, podobną do olbrzymiego trzęsienia ziemi. Całe życie społeczne ległoby, zdaniem autora, w ruinie i nie prędko zdołałoby się podźwignąć.

Pan Juliusz Roche ma przedewszystkiem na myśli Francyę i do niej stosuje wszystkie swoje obliczenia. Przedewszystkiem zastanawia się nad kosztem przyszłej wojny, za podstawę zaś do obliczeń bierze wydatki z wojny francusko-niemieckiej. Według obliczeń ministra wojny, Freycineta, siły wojenne francuskie wynosiły ogółem 1,200,000 żołnierzy; najwyższa liczba sił niemieckich w lutym 1871-go roku wynosiła 1,350,000 ludzi czynnych na placu boju.

Koszt utrzymania żołnierza wynosił 11 franków dziennie w ciągu 245-iu dni wojny, czyli razem 3 miliardy i 327 milionów franków.

Dziś siły wojska we wszystkich mocarstwach znacznie się liczebnie zwiększyły. Mobilizacya wojska czynnego dostarczyłaby Francyi 2,080,000 żołnierzy, z rezerwami zaś 2,860,000. Na utrzymanie tej ogromnej ilości potrzeba przeszło 31 milionów franków dziennie, licząc tylko po 11 franków na żołnierza. Koszt ten obliczony jest bardzo nisko. W wojnie Anglii z Boerami każdy żołnierz angielski kosztował dziennie 20 franków; co prawda, była to wojna wyjątkowo droga, zresztą utrzymanie żołnierza angielskiego o wiele drożej kosztuje aniżeli francuskiego.

W ostatniej wojnie na Dalekim Wschodzie, według obliczeń dotychczasowych, każdy żołnierz rosyjski kosztował 10 franków dziennie, pod uwagę atoli wziąć należy, iż żołnierz ten znacznie taniej kosztuje niż francuski. Gdyby zatem we Francyi zmobilizowano całą armię czynną wraz z rezerwami, utrzymanie jej kosztowałoby 38,000,000 franków dziennie. Przypuśćmy, że wojna tak długo trwać będzie, jak ostatnia francusko-niemiecka, to jest 245 dni, to koszt jej wyniesie 9 miliardów 310 milionów.

W razie wystąpienia do wojny trójprzymierza, Niemcy wystawiliby około 5,400,000 żołnierzy, Austrya 2 miliony, Włochy zaś 3,300,000 czyli razem 10,700,000 żołnierzy; licząc po 11 franków na każdego, dojdziemy do cyfry 117 milionów franków dziennie, ogółem zaś 28 miliardów, 665 milionów przez 245 dni wojny.

Jak ogromne są to sumy, najlepiej wyobrazić sobie można, porównywując je do zwykłych wydatków państwowych. Budżet francuski pochłania codziennie 10 milionów franków, z czego na utrzymanie armii wydaje się dwa miliony. Codzienny wydatek na armię w czasie wojny byłby 19 razy większy, niż w czasie pokoju, a przeszło półczwarta razy większy, aniżeli obecny cały budżet państwowy.

Wszystkie te koszta są niczem w porównaniu ze stratami, jakie poniosłaby w razie wojny cała Francya, skutkiem upadku przemysłu i rolnictwa. W roku 1870—71-ym uniknięto bankructwa państwowego jedynie tylko dzięki temu, że bank francuski mógł dostarczyć sumy potrzebnej. Obecnie byłoby to wręcz niemożebnem. W czasie wojny prawie cała ludność męska w wieku 20—45 lat wychodzi w pole. Wobec tego przedsiębiorstwa przemysłowe i gospodarstwo rolne musiałyby stanąć z braku sił roboczych. Prawie trzy miliony ludu przez cały przeciąg wojny nic nie produkuje, nic nie zarabia, ale w dodatku pozbawia resztę ludności produkowania i zarobkowania. Pozostałyby tylko te warsztaty, w których ludzie pracują oddzielnie, a warsztatów takich w nowoczesnej gospodarce ekonomicznej coraz mniej istnieje.

Zamieszanie wzrośnie jeszcze, gdy ustaną komunikacye, gdy stanie cały odpływ i dopływ życia społecznego. Zabraknie wówczas światła elektrycznego, tramwajów, dorożek, gazu i t. d.

Nie będzie kąta kraju, w którymby wojna nie dała się odczuć dotkliwie.

A pieniądze? Na tem polu spodziewać się można całkowitego przewrotu. Już w r. 1870—71-ym kurs renty państwowej francuskiej spadł o część trzecią, pomimo, że niektóre walory, np. angielskie, nic wówczas na kursie nie straciły. Wówczas długi Francyi wynosiły 14 miliardów; dziś przewyższają 38 miliardów. W czasie przyszłej wojny z pieniędzmi papierowemi powtórzyłaby się prawdopodobnie ta sama historya, co z asygnatami w czasie pierwszej rewolucyi, kiedy za banknot 100-frankowy dawano 15 centymów i kiedy funt cukru kosztował 470 franków.

Takie same straszne skutki wojny byłyby dla Niemiec, Włoch, Austryi i Anglii. Wszędzie wojna pociągnęłaby za sobą najzupełniejszą ruinę ekonomiczną. Nawet zwycięzca tak drogo opłaciłby zwycięstwo, że przez długie lata ciężyłoby ono nad krajem.

H.



Powrót z pola.

Tędy droga...

O bracia moi, dziś, w haseł toni,
W szumie sztandarów o barwach wielu,
Śród mnóstwa głosów, ściągniętych dłoni,
Mających ludzki tłum wieść do celu,

Po nowych drogach po życie nowe
W chwałę i szczęście opromienione,
Dziś, wy pomnijcie na słowa owe
Przez Zbawcę kiedyś uczniom rzeczone:

„Bądźcie wy prości jak gołębice,
Ale roztropni, jako wężowie!
O bracia! wabne niech obietnice
I pyszne hasła w zdradliwej mowie

Roztropnych duchów, serc nie poruszą,
Jak szkło o skały niech się rozkruszą!
Bądźcie roztropni! fałszywe blaski
Niech was nie olśnią, udając słońce,
A zaś na sztuczne echowe blaski
Nie mówcie, że są „prorokujące“...

— — — — — — — —

Mówicie, — słyszę — „to błędne koła!“
Nie wiemy kędy, za czyim głosem
Dążyć, czyj sztandar zapewnić zdoła
Zwycięstwo stronie, której „zło“ losem!

Nie wiem, gdzie prawda, gdzie ponęt sieci,
A bunt pcha ciało i umysł mąci“
— Człowieku — bracie! niech tylko wzleci
Twój duch na chwilę w wyże, niech trąci

Skrzydłem o prawdy nigdy niezbite,
Zamknione w wielkiem Chrystusa słowie —
A jako posiąść, co niezdobyte,
Pod jakim znakiem wnet ci odpowie:

Co mieczem, zdradą, pychą, lub siłą
Zdobyć chce szranki — zaginie snadnie. —
Jedyne prawo się objawiło
I ono berło ma wziąć wszechwładnie

I poprowadzi naród znękany
Świetlaną drogą: róż, tęcz, jasności
Do wielkiej szczęścia otwartej bramy,
Drogą miłości, tylko miłości!

Świerszcz.

Myśli i zdania.

Nie będziesz używał imienia Polski nadaremno.

Stanisław Wyspiański.

* * *

Nie zawsze ten dotrzyma, kto godzi się bez namysłu.

Marya Rodziewiczówna.

* * *

W towarzystwie każdy próżniak jest znakiem pewnym, że jakiś obywatel krzywdę cierpi.

Stanisław Staszyc.

Dział kobiecy.

Piękność kobieca.

Cóż to jest ta piękność, kobieca piękność? Plato nazywa ją zaletą przyrodzenia. — Sokrates krótką tyranią — Bion cudzem dobrem — Karneades panowaniem bez silnej straży — Diogenes czemś lepszem nad wszelkie listy polecające — pewien pisarz bezimienny chimerą, urojeniem męskiej wyobraźni, — i ten chyba najlepiej ją określił. Wszakże niejeden przejdzie obojętnie koło boskiej Heleny, gorejąc miłością ku prostej Marynie. Nicht das ist lieb, was schoen ist, sondern das ist lieb, was ich lieb,*) powiedział któryś z pisarzów niemieckich, — i bardzo słusznie. Każdemu jest jego bogdanka najpiękniejszą, tak samo jak poecie jego Laura, która czarodziejskim sposobem posągi ożywia a żywych w kamienie obraca.

Przebaczcie mi, piękne czytelniczki, — a szczególnie wy młode, — iż ośmielam się twierdzić, że owa okrzyczana regularność rysów, miłe odmiany kolorów, dusza w oku, majestatyczny chód, zachwycająca szczupłość figurki, ponętna pełność biustu i t. d. — są tylko urojeniami waszych wielbicieli. Albo myślicie może, iż wasze czoło jest siedliskiem Gracyi? wasze brwi łukami tryumfalnymi? wasze kędziory złotemi kajdanami, któremi Amorek więzi swoich niewolników? wasze oczy gwiazdami, słońcem? wasze spojrzenia płomieniami lub iskrami dyamentów? wasze lice połączeniem lilii z różą lub krwi z mlekiem? wasza buzia rumieńsza od jutrzenki? wasza płeć jaśniejsza od kropli rosy i bielsza od śniegu? wasz nos cudem przyrody? wasze usta koralem lub igraszką Amorka? wasze ząbki perłami uryańskiemi? wasz oddech wonnym zefirkiem? wasze piersi żywą kością słoniową?!... O, pozwólcie niech już skończę tę litanię, — wy cudne stworzenia. Bez liku roją się te mamidła w rozpalonych głowach waszych pokornych czcicieli, — o czem przypominam sobie z młodszych latek, —o! bo i ja byłem kiedyś... Farysem! A gdy już który wyczerpał wszystkie porównania, które mu na myśl przyszły, natenczas wyznaje, że piękność nie da się opisać; że jest ona czemś wabiącem, pociągającem, porywającem, czemś, co w sposób czarodziejski z szybkością prawie błyskawiczną duszę opęta i serce do się przykuje.

Lecz co prawie z szaleństwem w tym paroksyzmie graniczy, to to, że wszystkie ryczałtem jesteście powabne i doskonałe. Blondynka bardziej jaśnieje; brunetka bardziej porywa; okrągłe są najpowabniejszym obrazem zdrowia; szczupłe są kształtne; wysmukłe — do tańca stworzone; wysokie — to istne topolki — a niskie? a? te to już krótkim zbiorem wszystkich powabów. W ten sposób każdy rodzaj dziewcząt ma swoich Donkiszotów. Czasem zagładzi kształtna nóżka olbrzymie usta lub na odwrót; piers alabastrowa (?) zasłoni zezowate oczy; piękna rączka nie pozwala dostrzedz kończystej bródki, a przy długich czarnych włosach nikną czarne zęby, — krótko mówiąc: ponieważ każda kobieta ma swego wielbiciela albo przynajmniej Donkiszota, więc ile dziewcząt — tyle bogiń!

Zresztą przyjmijmy to mylne zdanie, że piękność jest czemś istotnem, natenczas, o boginie, nasuwa się to nieprzyjemne pytanie: jak długo trwają wasze wdzięki? Zaledwie zakwitnie przy świcie pączek, już ogołaca go południowe słońce z jego świeżości, a w wieczór pochyla się niestety zwiędniały ku ziemi.

Piękność również jak cień mija. Namiętność, złość odmieni ją; najlżejsza febra lub noc bezsenna już ją oszpeci; z postępem wieku niknie i znika bezpowrotnie, — rzadkie są tu wypadki. Zaiste piękność zdaje się być dziełem sztuki, nie natury, bo rzadko spotyka się piękność, któraby była samoistną, któraby cudzych powabów nie pożyczała, któraby się również bez stroju podobała jak i w nowomodnych szmatkach. Suknia, smak, ułożenie, pokost przyczyniają się często, a nawet możnaby powiedzieć — zawsze bardzo wiele do przystojności czyli piękności. Mnóstwo dziewcząt straciłoby bardzo wiele przy ścisłem badaniu!

Pominąwszy zresztą wszystko, niechaj mi kto powie, co dobrego sprawiła piękność od upadku Ewy? Niestety! sprowadziła same prawie nieszczęścia.

Nie jestże piękność źródłem kłótni domowych, zazdrości, zemsty, wojen a nawet zaburzeń krajowych? Czy nie skłania ona i najsurowszego mędrca do rozpusty? Czy nie czyniła ona i najsławniejszego bohatera niewieściuchem a zwycięzcę świata niewolnikiem kądzieli? Nie przemieniłaż ona najłagodniejszych rządców w tyranów? najszczęśliwsze małżeństwa w piekło? I dowodów na to przytaczać tu nie potrzeba, bo dają ich dość dzieje narodów, daje życie.

A teraz zobaczmy, jak się godzi rozum z pięknością. Przez słowo rozum nie należy jednak wyobrażać sobie ową świetną powierzchowność, ową łatwość szczebiotania o wszystkiem i niczem, zręczne obmawiania, piękne kłamstwa i wiele innych niepotrzebnych, a nawet niebezpiecznych talentów, którymi się niejedna mówczyni w towarzystwie pyszni. Nie. Piękność w każdym razie więcej warta szacunku, niż ów próżny błyskot. Lecz ustąpić musi sama piękność przed prawdziwym rozumem, musi ustąpić tam, gdzie obszerne wiadomości, roztropność, dowcip, wymowa, serce, uprzejmość i czułość są razem połączone. Dziewczyna tylko piękna jest próżną, dumną, bierze wszystkie pochlebstwa swoich zmysłowych czcicieli za należyty haracz i jest dla rozumnego nieznośną. Ona potrafi wprawdzie pleść o pogodzie, o modach, o kawie, o różnych fraszkach, ale gdy się puści wyżej, w dziedzinę poważnych przedmiotów, okaże się biedaczka w całej swej śmieszności. Dziewczyna tylko piękna podobna jest do martwego posągu, ale i to — za wielki honor! Piękny posąg marmurowy zawsze jest pięknym, sława zaś piękności niemądrej dziewczyny (a może wolicie: panienki) dziwnie prędko niknie. Piękność, jeżeli chce czegoś więcej, niż podobać się, — jeżeli chce być kochaną, musi mieć rozum; szczęście jej zawisło od rozumu. Rozum stoi o wiele wyżej niż piękność, a dziewczyna, któraby się gniewała na rzecznika tej prawdy, byłaby prawdziwie godną politowania.

Dziewczyna tylko piękna, podoba się jedynie swoim (a przypuścić należy, że nie wielu) wielbicielom, w towarzyskiem zaś gronie inni tylko grzeczność dla niej zachowują, a jeżeli który powie do drugiego: „Piękna dziewczyna,‟ to powie. to takim tonem, jak gdyby mówił: „Piękna pogoda.‟ Któżby bowiem słuchał z upodobaniem jej wiecznie powtarzających się tak lub nie, albo: „Jaki z pana figlarz,‟ albo wreszcie jej paszkwilów na szlachetne i rozumne dziewczęta? Nawet jej wielbiciele nikną powoli jak śnieg na wiosnę. A gdy wreszcie jaki bezmyślny zakochany pojmie ją za małżonkę, gdy mu przy pomocy bożka Hymena spadnie zasłona z oczu, gdy ślepy przejrzy należycie i zamiast anioła najzwyklejszą kobietę z tysiącem wad znachodzi, gdy go zgryzota i nudy zaczną z domu wypędzać i jego biedne położenie coraz biedniejszem się staje, gdy piękność

*) To znaczy po polsku: Nie to jest miłe, co jest piękne, lecz to jest miłe, co kocham.

ukochanej (?) żony niknie — możnaż sobie obraz nieszczęśliwszego małżeństwa przedstawić? Możnaż takiego męża ślepo potępiać? On się nie zmienił, lecz zmieniło się to, co był ukochał! — Dziewczyna rozumna nigdy takiej doli nie ulega. W jej życiu nie masz epok zachwytów i niesmaku, a może i wzgardy, bo jej powaby są stałe; a nawet staje się ona codziennie powabniejszą i doskonalszą dla człowieka rozumnego i czułego, a jako małżonka (będą się bowiem dobijać o jej rękę) będzie ona uszczęśliwionemu mężowi przyjaciółką i miłą towarzyszką życia, która dom jego w świątynię pokoju, uciechy i błogosławieństwa zamienia, będzie doradczynią w wszelkich wypadkach — jednem słowem będzie istotą prawdziwie kochaną, bo kochania godną!

Obym nie na próżno rzucił te słowa! Znam miłość — znam istoty, które ją wzniecają — znam życie i szczęście ludzkie z tej strony, mogę zatem mówić o przedmiocie, który się tak wiele do niego przyczynia.

Prof. Zygmunt Morawski.

Rozmaitości.

— *Nowe światło.* Podczas londyńskiej wystawy motorów w „Agricultur Hall'' przedstawiono nowy gaz świetlany, który, według orzeczenia gazet angielskich, zagraża poważnie rozszerzeniu światła elektrycznego i gazowego. Nowe światło jest zwykłem powietrzem, zmięszanem z 1.5-procentową zawartością pary naftowej.

Mięszanina ta zapala się dopiero po przejściu przez specyalny aparat, poczem rozżarza się czerwono-niebieskim płomieniem, który objęty białą obwódką daje jasne białe światło, zupełnie nie rażące, o sile przewyższającej światło elektryczne i gazowe.

Zaletą nowego gazu świetlnego jest ten fakt, że przy pomocy odpowiedniego aparatu, którego cena zależną jest od wielkości, każdy w swojem mieszkaniu może mieć bardzo dobre światło przy zaoszczędzeniu kosztów w wysokości 70 proc. Aparat łatwy zresztą do obsługi i wystarczający do oświetlenia około 20 pokojów, stać może na stoliku mającym zaledwie 3 stopy kwadratowe. Koszta wytwarzania gazu wynoszą na 1000 stóp kubicznych około 50 fenygów, przyczem bardzo łatwo można badać ilość zużytego gazu.

— *Bezdymne spalanie.* Od wielu dziesiątek lat cały świat techniczny stara się wynaleść przyrząd, który, dostosowany do nowczesnych urządzeń, mógłby rzeczywiście sprowadzić bezdymne spalanie, a tem samem uwolnić ludność większych miast i ognisk przemysłowych od szkodliwego działania dymu. Dotychczas znane urządzenia są nadzwyczaj złożone, drogie i wymagają wielkiej staranności ze strony palacza. Firma Mederer et Gärtner w Wiesbadenie wprowadziła nowy przyrząd t. zw. „Verbrennungs - Regler,'' wynalazku inżyniera Medera, który bez wielkich zmian w urządzeniu palenisk, może być łatwo zastosowany.

Działanie przyrządu polega na doprowadzeniu ogrzanego tlenu w takiej ilości, ażeby zmieszany z palnymi gazami, wytworzonymi tuż nad rusztem, spowodował zupełne spalenie materyału.

W miarę przebiegu samego procesu spalania, przyrząd automatycznie, niezależnie od palacza, reguluje dopływ powietrza w ten sposób, ażeby przy najlepszem wyzyskaniu siły materyału palnego, nie dopuścić do wytwarzania się dymu.



POŻEGNANIE.

Przyrząd ten, zastosowany w hali centralnej w Frankfurcie nad Menem i funkcyonujący od listopada zeszłego roku, doznał tak dodatniej oceny ze strony zawodowych techników, że niektóre władze dziś już poleciły zastosowanie go w miejscowościach, w których nadmiar wytworzonego dymu ujemnie wpływa na zdrowotne stosunki ludności.

— *Siostra Piusa X.* Teresa Sarto-Parolin dotknięta została bolesnym ciosem; zmarł bowiem mąż jej, Giovanni Parolin, przeżywszy lat 77. Zakończył życie w rodzinnem miasteczku, Riese, gdzie, jak wiadomo, ujrzał też światło dzienne i Ojciec św. Parolin zostawił 8 dzieci, w ich liczbie syna ks. Jana, prałata i proboszcza w Possagno (Treviso); córka Marya zmarła przed kilkoma laty jako zakonnica. Sp. Parolin był właścicielem hotelu i długoletnim członkiem Rady gminnej. Był on człowiekiem światłym; dla swych cnót i dobroci cieszył się w Riese wielką popularnością.

Śmierć szwagra bardzo boleśnie dotknęła Ojca św.; w ciągu choroby jego kazał sobie donosić telegraficznie o stanie jej. W przeddzień zgonu otrzymał Giovanni Parolin błogosławieństwo apostolskie. Pius X wydał zaraz dyspozycye co do pogrzebu żądając, aby ten był jak najskromniejszy, a nadto wysłał list własnoręczny do wdowy, a siostry swej, Teresy, która otrzymała też kondolencyę od patryarchy weneckiego. W Rzymie przebywają dwie młodsze siostry Piusa X, oraz córka Teresy, Gilda Parolin, która mieszka wraz z niemi. Wkrótce po zgonie Jana Parolin były one na audyencyi u Ojca św.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 25-go sierpnia 1526 wcielenie Mazowsza do korony. — 1581 zdobycie Pskowa. — 1660 pożar Gniezna.

Dnia 26-go sierpnia 1601 pobicie Szwedów pod Rygą. — 1733 otwarcie sejmu elekcyjnego.

Dnia 27-go sierpnia 1492 wstąpienie na tron Jana Olbrachta. — 1764 sejm elekcyjny.

Dnia 28-go sierpnia 1514 rozprawa z Moskwą pod Berezyną. — 1831 bitwa pod Krynikami.

Dnia 29-go sierpnia 1660 Polacy oblegają Mohilew. — 1677 śmierć prymasa Andrzeja Olszewskiego. — 1831 zwycięztwo pod Międzyrzeczem i Rogoźnicą.

Dnia 30-go sierpnia 1621 początek Chocimskiej potrzeby. — 1754 przymierze Augusta II. z carem w Narwi.

Dnia 31-go sierpnia 1299 śmierć Leszka Czarnego. — 1559 hołd mistrza Inflanckiego. — 1579 zdobycie Połocka.

Humor i satyra.

Jaś i Kasia.

Do kochliwego Jasia,
Gdy palił koperczaki,
Z urazą rzekła Kasia:
„Precz! Każdy z was jednaki.
Niech ujrzą gdzie fartuszek,
Już słodkie minki stroją...
Dopóki wierzba gruszek
Nie da — nie będę twoją!“

Zamknęła drzwi z łoskotem,
Spuściła w mig firanki....
Rad nie rad, Jaś na potem
Odłożył zalecanki;
Gdy wrócił w krótkim czasie
Niepomny na pogróżki,
Na wierzbie ujrzał Kasię
Przywięzującą gruszki.

* * *

Historya krótka, ale prawdziwa.

Pan Jan. Słuchajno, Waluś, pójdziesz do pana Stanisława i powiesz mu, żeby pożyczył fraka. Jeżeli cię będzie pytał dla kogo — to powiedz, że dla mnie, rozumiesz?

Waluś. Rozumiem...

Pan Stanisław. A co to?

Waluś. Przyszedłem pożyczyć fraka.

Pan Stanisław. Dla kogo?

Waluś. A no, pan Jan powiedział, że to dla mnie.

Pan Stanisław. Powiedz panu Janowi, że dla takich chamów niemam fraków!

Pan Jan. No cóż niema fraka?.... Cóż ci powiedział pan Stanisław?

Waluś. Powiedział, że dla takich chamów, to niema fraków!...

Od tego czasu Jaś i Staś przy spotkaniu na ulicy nie kłaniają się sobie.

Logogryf.

Ułożyła czytelniczka „Pracy“ Wanda Płucińska z Poznania.

Z następujących zgłosek ułożyć 11 wyrazów, których pierwsze litery czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko jednego z redaktorów „Pracy“: — a—a—na—za—ło—cya—dya—lan—len—li—i—za—der—dy dyk—wicz—zy—zba—po rab — mi—wa — zgon.—świ—ir—ry—in—ni o.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Wyspa.
2. Imię męzkie.
3. Śmierć inaczej.
4. Ptak domowy.
5. Narzędzie.
6. Miasto w Hiszpanii.
7. Część domu.
8. Rzeka w Anglii.
9. Imie męzkie.
10. Miasto w Królestwie Polskiem.
11. Mieszkaniec krajów Wschodnich.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 31 b. m. włącznie. Tylko te osoby uwzględnimy przy rozdawaniu nagród, które nadeślą dokładne rozwiązanie tak pojedyńczych wyrazów jako też całego logogryfu.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie szarad z nr. 32-go:

I.

Ja-cen-ty.

II.

Frak-rak.

Dobre rozwiązanie *pierwszej szarady* nedesłali tylko pp. H. Wodecki z Ropczyc w Galicyi i Janek z Poznania z pod Góry Przemysława w następującym wierszyku:

Cóż to Panie Redaktorze?
Czy już zgadnąć nikt nie może,
Tej szarady nam przesłanej,
W 32-im numerze drukowanej?
Że jest trudną, sami przyznacie,
Lecz ją pono zgadłem przecie:
Że „Ja“ pierwsza — a „ty“ trzecia osoba
To potwierdzi każda mądra głowa,
Że jeżeli pierwsza i trzecia nie posiada [„centy“ w kalecie
To bardzo licho jest poważana na świecie.
Teraz złącz wszystko razem, będzie z tego — [„Jacenty“
Ot i całe rozwiązanie!
Tylko nie wiem czy udane?
Boć nie jestem żaden panek,
Tylko ze wsi chłopek Janek
A zresztą sami już przyznacie,
Gdy coś warte, to mi przyślecie,
Tę przeznaczoną nagrodę*.

*Nagrodę chętnie nadeślemy, ale prosimy o łaskawe podanie nam nazwiska — nie pseudonimu — i dokładnego adresu mieszkania.

Przyp. Red.

Na stanowisku.

Opowiadanie myśliwskie powtórzył **Leon Chrzanowski.**

3) (Dokończenie.)

Dowiedziałem się nadto tajemniczej historyi, dawnej niechęci starego do swych współbraci Kiełczewskich.

Miał on kiedyś narzeczoną Nienałtowską Weronkę, którą kochał nad życie. Po powrocie z wojny zastał ją żoną młodszego swego brata. To go wygnało z rodzinnych Kiełczów.

Brat tymczasem — był nietylko złym bratem, ale i złym mężem, złym ojcem i złym gospodarzem. Zmarnował wspólną im ojcowiznę, i zeszedł na dziady. Jedyny syn tego brata wspomniany wyżej Paluch (od skrzywionego palca) rządził się o tyle dobrze, że część ojcowizny w Kopkach odkupił. Pod starość jednakże zrobił głupstwo, i wdowcem będąc, ożenił się powtórnie z własną dziewką.

Ta to właśnie „chamka“ macocha „pastwiła“ się nad Weronką, pragnąc po śmierci męża wyżenić ją na zatracenie do miasta, by sama mogła objąć grunt należny sierocie.

Kiełczewski długie lata stronił od rodzinnego zaścianka. Przypadek go doń sprowadził. Poruszone ongi przez Franka uczucie szlacheckiej ambicyi, i rodowej solidarności, wzmogło się po ujrzeniu Weronki, która okazała się wykapanym portretem swojej babki. owej Nienałtowskiej z domu.

Przywiązał się do sieroty i otoczył ją swoją opieką. W imię tego nowego uczucia przebaczył dawną krzywdę cieniom umarłych, i dziś dla tej przypadkiem odnalezionej wnuczki, bez wahania, wyrzekał się najdroższej swojej pamiątki.

Wyjaśnienia te sprawiły, że mój kochany stary wyrósł dla mnie na rzeczywistego bohatera.

Pomału uspokoiłem gniew ojca, i uradziliśmy obaj, że na wiosnę roku przyszłego, przyjadę umyślnie na święty Józef, by w dzień imienin Kiełczewskiego, obdarzyć go, jako swego mentora w myśliwstwie, ową wspaniałomyślnie sprzedaną dubeltówką.

* * *

Stosownie do umowy już 17-go marca wyjechałem z Warszawy, dążąc w rodzinne strony. Wiosna tego roku zaczęła się wcześnie. Na polach śniegi znikły zupełnie; tylko przy rowach, krzakach, w lasach i pod lasami leżały topniejące brudne zaspy. Przegony, rowy i głębokie polne dróżki, szumiały jakby wartkie potoki, i wylewając cały zasób wód zebranych z pól, na niziny — zamieniały wioski w wyspy, a łąki w jeziora, srebrzące się nieskończoną taflą, pod bladem, ołowianem, chmurami osłoniętem niebem.

Niewidzialny dla oka, choć dotkliwy w skutkach drobny deszcz, spłukiwał resztki szronu i lodowych sopli, z strzech, i budził do życia uwolnione z pod skorupy lodowej żółtawo-zielone oziminy. Na pokrytych chudemi jeszcze pączkami, przydrożnych wierzbach, kręciły się parki obmokłych trznadli, korowody kawek i gawronów tłukły się po rozmiękłych, i oczami kałuż świecących rolach, górą zaś ciągnęły klucze dzikich gęsi, kaczek, żurawi i innych wędrowców, głośnym krzykiem witających znajome gospody.

Krzyk dzikich gęsi przypomniał mi cel podróży i mojego przyjaciela.

— Cóż tam porabia Kiełczewski, — zapytałem wiozącego mnie forysia.

— A ino prec za gęsiami się ugania. Dziedzic kazali pierwszy groch posiać przedonegdaj, na górce, na bieli nad rzeką. Gęsi się zwiedziały, zmrowiły i prec tam padają, a stary postawił se budke z choiny, i nie daje.

— I bije dużo?

— Bogać nie bije! Mądre uny sielny — ale i stary ma na nie różne śtuki. Najbarzy do dnia tłuce.

Przyjechawszy do domu późnym wieczorem, dowiedziałem się, że istotnie Kiełczewski, dnie i noce spędza na bieli nad rzeką, broniąc naszego grochu od inwazyi nienawistnych skrzydlatych „cyganów.“

Na drugi dzień przed świtem, wybrałem się na poszukiwanie mojego przyjaciela.

Ponieważ mżący bez przerwy kapuśniaczek marcowy rozmiękła na polach ziemia, i nieskończone rozlewy, wcale nie zachęcały odwykłego już nieco od wiejskiego życia filistra do pieszej wycieczki o dobrych kilka wiorst, wybrałem się przeto wózkiem, zabrawszy ze sobą gwałtem napraszającego się na towarzysza, Franka Nienałtowskiego, który jako szczęśliwy od paru miesięcy mąż Weronki, za protekcyą „dziadusia,“ świeżo kreowanym został przez mego ojca, na godność pisarza prowentowego.

Wprawdzie pan pisarz, mimo usilnej nauki dziadusia, i wysiłków piśmiennej Weronki, żadną miarą nie mógł przyjść do ładu z piórem i pisaniem, ale za to prezencyę miał wspaniałą, i mir u służby folwarcznej wielki.

Jechaliśmy, kołysząc się po wybojach i brnąc po błocie, noga za nogą, Franek przeto miał dość czasu, by mi opowiedzieć o szczęściu swojem, o rozumie Weronki, która mu kazała oba działy na Kiełczach, to jest swój i jego, wydzierżawić stryjkowi Kuropatwie, by za pieniądze ztąd otrzymane, spłacić dożywocie macochy, ciążące na połowie fortuny po Paluchu, i t. p. szczegóły z życia zaścianków.

Na uwagę moją, że może osoba Kuropatwy nie zupełnie odpowiada ideałowi dzierżawcy, Franek mi odrzekł żywo, że Kuropatwa już się całkiem odprzysiągł upatrów, i że po za pasyą do polowania, jest dobrym i całkiem odpowiedzialnym gospodarzem.

— Zresztą jak pan Kielceski powiedzieli, co mu można powierzyć fortone, to co tu gadać?... — zakończył.

Franek odkąd został dygnitarzem folwarcznym, stał się zarazem konserwatystą i arystokratą. Ubolewał, że „ślachta tera na psy chodzi, nie laitymuje (legitymuje) się — chłopieje, świniami handluje.“

— Oto i ten Wieprzcyk, co to ma na Ołtarzach zacną fortonę, ten, co to go chcieli na wójta wybierać, taki wysokalachny!... Ale tera, jak się tak opaskudził, na śwaba wyszedł, ludzie (t. j. szlachta) go za nic mają, i o wyborach nie myślą.

Zauważyłem, że byle Ołtarzewski w handlu nie oszukiwał, to samo zajęcie nic w sobie nie ma krzywdzącego. Odpowiedział mi:

— Zawdy to je żydowska rzec! niechta jensze ludzie sobie handlują — a ślachcic powinien roli pilnować.

Wreszcie jako najsilniejszy argument przytoczył:

— Przecie już pon Kielceski zawdy je sprawiedliwy, a lo tego, jak go się o unego Wieprzscyka pytali, to ino splunął!...

Zrozumiałem, że powaga mojego milczącego Kiełczesia w zaściankach, wcale nie osłabła, lecz przeciwnie wzrosła jeszcze w ostatnich czasach. o tyle, że jedno splunięcie dostatecznem było do pozbawienia popularności jednego z potentatów zaściankowych.

Dla Franka Kiełczewski był bożyszczem, istotą nieomylną, a tak doskonałą, że o żadnych porównaniach lub opozycyi, wprost mowy być nie mogło.

To też w sprawie wyprawy na biel, na gęsi, gdy Weronka w obawie o dziadusia, zaklinała go, by nie szedł, jeśli chce w dobrem zdrowiu doczekać prawnuków, któremi ją ciągle prześladował, Franek po raz pierwszy ośmielił się

być innego zdania, niż żona, i nadrabiając miną, buńczucznie zawyrokował:

— Pan Kielceski lepiej wiedzą co trza, a co nie trza, a baby niech do myśliwskich śtuków nosa nie wtykają!

Wjechaliśmy do lasu odgraniczającego biel od pól folwarcznych; z nad rzeki doleciał nas huk wystrzału.

— Oho! to krowianka pona Kiełceskiego! Musi natłuk psiarstwa! Porachuj no kunie batem, — dodał, zwracając się do furmana Franek.

„Rachowanie" wszakże na nic się nie zdało, gdyż niegodziwe wyboje i korzenie, uniemożliwiały pośpiech.

Nareszcie po kwadransie, dowlekliśmy się na ową biel. Cicho tu było i pusto. Budka Kiełczesia, sklecona z sosnowych gałęzi, stała na skraju cyplu leśnego, lecz w niej prócz trochy mchu, nic więcej nie było. Na wołania i hukania nasze, żaden głos nie odpowiedział, jak okiem sięgnąć, aż po skraj bieli i łąki za nią, po brzeg szeroko rozlanej rzeki, żywej duszy widać nie było.

Widok rozlewu przypomniał mi żywo moją przykrą na ciągach przygodę. Zaniepokojony, tknięty niedobrem jakiemś przeczuciem, zacząłem biedz ku rzece. Franek instynktem myśliwego skierował się ku kępie paproci, ledwie widocznej za lekką pochyłością gruntu, na nasypie rowu.

Nie minął jej jeszcze, gdy straszny krzyk oznajmił mi, że zaszło coś nadzwyczajnego.

Pobiegłem co żywo, i oto com zobaczył. W pośrodku owych zeschłych paproci, Kiełczewski leżał na boku, trzymając w prawej dłoni koniec lufy swej starej pojedynki. Krew, brocząca mu z piersi, czerwieniała dokoła szeroką plamą, do nóg tulił się skurczony jego stary Bekas, patrząc żałośnie i drżąc całem ciałem.

Rzuciliśmy się ratować. Franek, rycząc płaczem, uniósł głowę, a z podróżnej manierki wlałem w usta parę kropli wódki.

Po chwili, stary otworzył przygasłe oczy — odetchnął ciężko, i z wysiłkiem uśmiechając się do mnie, wyszeptał:

— Bóg zapłać paniczu... nie trza... korzeń... flinta... przypadek... trudno...

Krzyknąłem na furmana, by odprzągł konia od wózka, i pognał do dworu po pomoc; sam przyklęknąłem, starając się chustką od nosa zatamować krew sączącą z rany.

Stary oddychał ciężko, chciał mówić, z zaciśniętej krtani z trudnością wybiegały pojedyńcze wyrazy:

— Nie z tego... strzelbisko dobre... kurek gałgan... Franek weźmie... Weronika... Dziedzic.. pilnujta... paniczu z Bogiem... o Jezu...

Zamknął oczy i wpadł w nowe omdlenie... Nie wiedząc, co czynić, zostawiłem nieprzytomnego z żalu Franka przy starym, a sam na drugim koniu, popędziłem jak wicher do pobliskiego miasta, po doktora.

Niestety wszystko daremnie; biedny mój przyjaciel, wpierw nim pomoc z ojcem moim przybyła, zasnął na wieki. Przywieziony przezemnie ekstrapocztą doktór, stwierdził już tylko śmierć, spowodowaną od strzału bliskiego w kierunku z dołu do góry.

Zabiła biedaka namiętna nienawiść do „ptasich cyganów." Pragnąc podejść zapadłe na bieli stado, pełzał po ziemi, ciągnąc broń za sobą. Badyl uschłej paproci zawadził o cyngiel i... największy myśliwy całego szlacheckiego Podlasia, jedyny już może okaz zanikającego typu, zginął z własnej broni.

Nie doczekał biedak, ani prawnuków, ani nawet swego imieninowego prezentu.

Koniec.

Pokarm dla niemowląt.

(Pogadanka hygieniczna).

Pierś matki, to najlepszy i najwłaściwszy sposób karmienia niemowląt. Tego wymaga sama natura, tak matki, jak dziecka.

Kobiety, karmiące własną piersią, daleko prędzej przychodzą do zdrowia po porodzie, gdy przeciwnie niekarmiące, cierpią na dotkliwy ból w piersiach, zapadają na zapalenie gruczołów piersiowych, a często gorsze jeszcze przychodzą następstwa. Pierś takiej matki marnieje, traci pokarm, co nawet przechodzić może z pokolenia na pokolenie.

Dziecko, pozbawione pokarmu własnej matki, cierpi na tem bardzo i to pod wieloma względami. Rozwija się powolnie, jest mniej odporne na różne choroby, a co najważniejsza, nie doznaje tej troski i takiej serdeczności, jakąby miało gdyby je własna karmiła matka.

Zazwyczaj dwie są przyczyny, dla których matki usuwają się od tego naturalnego obowiązku względem swych dzieci: praca poza domem i zły stan zdrowia.

Gdy zajęcia poza domem nie dadzą się ominać, niechże matka stara się bodaj trzy razy dziennie — prócz nocy — przyłożyć dziecko do piersi.

Co zaś do wymówek na stan swego zdrowia, na brak pokarmu, odpowiedział pewien lekarz takiem zdaniem: „Każda kobieta, która była dosyć mocną i zdrową dziecko donosić i urodzić, ma tyle zdrowia i sił, aby je bodaj przez krótki czas mogła własną piersią odżywiać!"

Co właśnie ciekawe, że kobiety na oko wątłe i delikatne, mają bardzo dużo pokarmu. Wtedy tylko matka powinna przerwać karmienie dziecka własną piersią, gdy przez to coraz bardziej nędznieje i chudnie.

Z chorób najważniejsza jest gruźlica płuc czyli suchoty. Gdy im matka podlega, o karmieniu dziecka mowy być nie powinno.

Matka karmiąca nie potrzebuje zmieniać zwykłego pożywienia. Unikać tylko o ile możności kwasów, oraz pokarmów wzdymających, jak grochu, kapusty. Natomiast strzedz się jak ognia trunków, wódek, wina, piwa, gdyż te dla dziecka wprost są zabójcze.

Zdania i myśli.

Mniej jest szkodliwy impet jawny, niż złość ukryta.

* * *

Lepsza mierność, niż zbytnie dostatki.

* * *

Ten człowiek jest najokrutniejszy, co gryzie pieszcząc.

* * *

Życie człowieka porównać można do śladu, jaki okręt zostawia na morzu.

* * *

Chwała ludzka jest jako cień — ucieka przed tym, który za nią goni — goni za tym, który przed nią ucieka.

* * *

Ten który wiele mówi, zazwyczaj mało czyni.

* * *

Każda klątwa jest modlitwą do szatana.

* * *

Niewinne często słowa są przyczyną wielkich kłopotów.